

o czym
mówią
ludzie?

STR 5

PODRÓŻE WESOŁEGO AUTOBUSU STR 7

jak być aktywnym?

STR 3

ODGŁOSY

ROK XIX NR 49 (991)

5 GRUDNIA 1976 R.

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

GÓRNICTWO

Dochodziła godzina 11.30. Dyspozytor kopalni GENERAL ZAWADZKI zaalarmowany został przez pracowników oddziału G3, zlokalizowanego na wschodnim rejonie kopalni o gwałtownym wdarciu się wody w dół do górnych partii oddziału. Chwilę potem ten sam dyspozytor otrzymał meldunek o wytworzeniu się potężnego leja północno-wschodniej części mułowiska Jadwiga II. Telefony poszły w ruch.

ZDZISŁAW
OKUNIEWSKI

BOHATEROWIE NA ETACIE

Magister inżynier Andrzej Głoyecki — naczelný dyrektor kopalni zarządził natychmiastową akcję ratowniczą obejmującą zarazem jej kierownictwo. Pierwszym posunięciem było wycofanie załogi z całej kopalni na wyższe poziomy wentylacyjne. Następnie zatrzymano dopływ wody do osadnika mułowego.

Na biurku dyrektora naczelnego Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego w Bytomiu zadzwonił telefon. Sygnalizowano o tragicznym wydarzeniu na GENERALE ZAWADZKIM. Ekipa pogotowia ratunkowego wyruszyła w stronę Dąbrowy Górniczej. Wśród nich byli również pletwonurkowie.

Rozmiar katastrofy był wielki. Zmobilizowano za pośrednictwem centralnej stacji, ekipy ratownicze z całego kraju. Poinformowano również o wypadku Wojsko Polskie, milicję, górniczą służbę zdrowia wraz z kolumną transportu sanitarnego.

Akcja wycofywania załogi z kopalni przebiegła sprawnie. Trudność sprawiał jedynie oddział G3, przez który przepływała woda z mułem węglowym. W tym dniu kiedy wydarzyła się katastrofa w podziemiach kopalni znajdowało się około 1.000 pracowników. Na oddziale G3 na skutek powstałych zawałów 82 górników zostało odciętych od rejonów kopalni i o nich to rozpoczęła się mordercza walka.

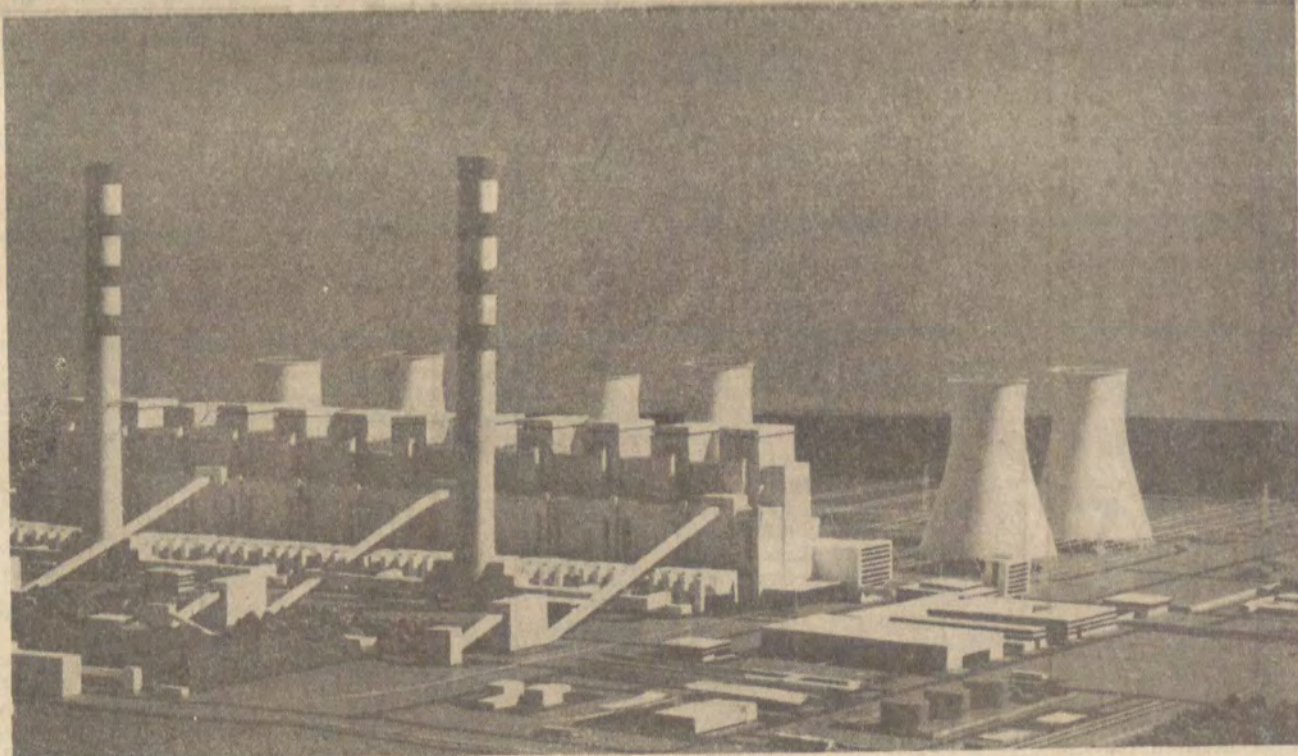
Dalszy ciąg na str. 12

ENERGETYKA

RYSZARD BINKOWSKI

palowanie

Czytaj str. 8



JACEK INDELAK

awaria

Lakoniczny komunikat w kronice wypadków codziennej gazy:

„Wczoraj w godzinach popołudniowych na skutek awarii kabla trakcji elektrycznej w rejonie ulic: Milionowej i Strzelczyka odcięty został dopływ energii elektrycznej m. in. do Tkalni Jedwabiu „Brokat”, Zakładów Przemysłu Filcowego oraz Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego „Elastikana”. Awarię usunięto...”.

Komunikat jak wiele innych.

PIŁKA NOŻNA (2)

ANDRZEJ
MAKOWIECKI

KWADRANS ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY

Chciałem pozbyć się podejrzeń. To, co umyka nieraz publiczności i dziennikarzom, ba! co potrafią przeoczyć obserwatorzy ze Związku, wysłannicy UEFA, działacze, trenerzy, nawet sami zawodnicy, nie umknę nigdy uczulonemu piłkarzowi, który weszły hecy z boku. Patrz na nogi, na strzały, na sędzię, na reakcję bramkarzy, pilnuj skurwysynów obrońców, których wejścia powiedzą ci wszystko... Nasz prawy, Jan Forester, zderzył się z czarnowłosym napastnikiem Interu, zagrzytały kości. To było fair! Krauze wjechał kolanem w podbrzusze szarżującego pomocnika tak, że chtëpisko zwało się na murawę i lekarz musiał ściągnąć go na aut. To też było fair! Oczywiście fair nie wobec przeciwnika i gry, tylko wobec idei, która zakłada, że sport jest wojną, a nie ukarowanym spektaklem teatralnym, w którym z góry przewidziano wynik. Dawid zdołał sforsować mur obrońców, ale w momencie, kiedy składał się do strzału. Pinokio rzucił się pod niego jak rugbista i poderwał go za obie nogi.

Może więc nie było hecy? Grali. Brzydko bo brzydko, ale grali. Ludzie mogli sobie gwizdać, sztydzić, jednakże wierzyli w tę grę. I ja powoli zaczynałem wierzyć. Powoli, gdyż wiem, że są różne sposoby przekupstwa.

Analizowałem je po kolei. Najprościej skaptować całą drużynę, choć jest to operacja droga, łatwa do wykrycia, kończąca się często wielkim skandalem. Dużo lepiej ugadać paru tylko piłkarzy, przykładowo: napastników, żeby strzelali w auty lub obrońców, żeby nie byli zbyt gorliwi. Jeszcze tańszą i dyskretniejszą metodą jest opłacenie bramkarza — podczas gdy koleś wypluwa z siebie flaki, on robi nagle małe błędy, a kiedy piłka ładuje w siatkę, odstawia czarną rozpacz, przy czym — w zależności od wyniku w końcówce — zawsze może ten błąd i tę rozpacz powtórzyć. Nie trudno także, zostawiając w spokoju piłkarzy, przekupić sędzię, który — jeśli jest dobrym aktorem — przez cały mecz będzie udawał wielką obiektywność i surowość, mało: tym, od których bierze pieniądze, wlepi kilka żółtych kartek, zwymyśla któregoś, nawet usunie z boiska, a potem nie dostrzeże nagle spalonego, albo podkultuje jedenastkę, albo znowu nie uzna po drugiej stronie ewidentnej bramki. Powiadam: wszystko to nie ma prawa umknąć doświadczonemu piłkarzowi, który niucha. Chyba... Chyba, że przekupiony został lekarz i zamiast dopingu podsunął chłopakom środek zwalniający reakcję.

Dalszy ciąg na str. 9

Dalszy ciąg na str. 12

PLENUM KŁ PZPR

Dnia 25 bm. z udziałem sekretarza KC PZPR Zdzisława Zandarowskiego obradowało Plenum Komitetu Łódzkiego PZPR. Tematem Plenum były zadania łódzkiej organizacji partyjnej w socjalistycznym wychowaniu młodzieży.

Obradom przewodniczył I sekretarz KŁ PZPR B. Koperski. W toku dyskusji dokonano oceny stanu realizacji programu pracy ideowo-wychowawczej wśród młodzieży, przyjętego po VII Plenum KC.

Widoczne efekty przyniosły różnego rodzaju imprezy organizowane w zakładach pracy, instytucjach, szkołach i uczelniach. Do najbardziej znaczących w tym zakresie należą spotkania pod hasłem „Partia rozmawia z młodzieżą” oraz młodzieżowe studium WUML.

Duże znaczenie dla aktywizacji społecznej młodzieży miały także zmiany w strukturze organizacyjnej ruchu młodzieżowego. W ciągu trzech kwartałów br. szereg ZSMP powiększył się o 900 osób. Obradowując wysunęli także wiele postulatów mających na celu dalsze doskonalenie form i metod pracy z młodzieżą. Najistotniejszym był postulat, aby w środowisku młodzieży uczęszczać i studiować doskonałe programy i treści nauczania przedmiotów ideologicznych, m. in. historii, filozofii marksistowskiej i ekono-

nomii politycznej. Postulowano ponadto, aby ZSMP w swoim programie pracy szerzej wykorzystywał zajęcia kulturalne. Jako formę wychowawczego oddziaływania na młodzież, Młodzież także należałoby powierzyć organizację takich imprez.

Dyskutanckie przypomnieli także o zadaniach produkcyjnych i gospodarczych młodzieży. Młodzież dobrze przygotowana społecznie, aktywna, to zaletą przyszłych, świadomych swoich celów budowniczych naszej ojczyzny. Włączyć młodzież do tej pracy można poprzez organizowanie dyskusji na tematy związane z rozwojem naszego kraju, a ponadto, co wydaje się cenniejsze poprzez świadome i czynne uczestnictwo w rozwiązywaniu problemów społeczno-gospodarczych naszego województwa, poprzez powołanie organizacji młodzieżowych ważnych zadań produkcyjnych i inwestycyjnych.

Wskazano także na ogromną rolę, jaką przy realizacji zadań organizacji młodzieżowych, ma do spełnienia organizacja partyjna. Powinna ona zapewnić skuteczną pomoc wszystkim ogniwom związku młodzieży, w ich oddziaływaniu na ogół młodzieży; prowadzić prace mające na celu wzrost znaczenia i rangi związków młodzieży; dążyć do zwiększenia udziału przedstawicieli organizacji młodzieżowych we władzach instancji i organizacji partyjnych.

JEDNO PYTANIE

CO SĄDZI PAN O SYTUACJI WE WSPÓŁCZESNYM TEATRZE?

Odpowiada STANISŁAW KASZYŃSKI

Jako historyk teatru konstatając z niejakim zaniepokojeniem, że daje się u nas zauważyć pewne zawężenie zestawów repertuarowych. Kanon wystawianych sztuk jest niezwykle wąski w porównaniu z tym, co stworzyła dramaturgia światowa od czasów antycznych. Kanon repertuarowy przypomina w dużym stopniu tak często krytykowany kanon lektur szkolnych. Czy to brak orientacji, czy brak odwagi i umiejętności sięgnięcia po utwory, które nie znalazły się w tym kanonie? Chyba jednak to ostatnie, ponieważ we współczesnym teatrze wszystko daje się podciągnąć do kilku formuł inscenizacyjnych.

Wydaje mi się to wielkim zabobieniem. Pewni pisarze, pewne gatunki nie pojawiają się na scenie zupełnie. Nie czyni się prób w dziedzinie tragedii antycznej, wystawianej w otwartej przestrzeni, a nie, jak teraz powszechnie, na scenie pudełkowej. Nie ma w teatrze prawie wcale komedii rzymskiej i dramatu liturgicznego. Nawet teatr epoki elżbietańskiej reprezentowany jest wyłącznie przez Szekspira. Gdyby nie Kazimierz Dejmek, to nawet dramat staropolski nie byłby obecny na naszych scenach.

Dobrze więc byłoby, aby teatr w Polsce rozszerzył swoje zainteresowania, aby nauczył i widza, i siebie smakować w podwyższonym rejestrze. A jednocześnie nie jest to proste, bo nasz teatr wpadł w pewne szablony inscenizacyjne, pod które chce podciągnąć cały dorobek dramaturgii w jej historycznym przekroju. Nie dość jest chyba doceniać swoistość sztuki dramatycznej, nie dążyć się do określania struktury dramatycznej w formie teatralnej.

Może ktoś powiedzieć, że za to teatr stał się platformą refleksji społeczno-politycznej i filozoficznej. Zapewne, ale potrzebne są także poszukiwania, o których mówiłem na początku.

DLACZEGO NIEKTÓRZY UWAŻAJĄ PANA ZA GRUZIŃSKIEGO KSIĘCIA?

Odpowiada IGOR SIKIRYCKI

Ach, to tylko żart. Wiele lat temu w tomie satyr napisałem swoją fikcyjną biografię zapodając, że jestem jedynym synem ubogiego gruzińskiego księcia. Nie do wiary, więc odczytano to na serio?

Chociaż ja sprawy gruzińskie nazywam swoją największą literacką przysługą. W pewnym sensie sprowokowałem kiedyś los. Prawie trzydzieści lat temu napisałem wiersz, w którym użyłem słowa Gruzja, nie bardzo potrafiwszy zlokalizować ją na mapie. Czy było to przecucie,

że zajmę się przekładami z literatury gruzińskiej?

A tak naprawdę zainteresowanie tym krajem zawdzięczałem Tuwimowi, który po powrocie ze Stanów Zjednoczonych wyraził chęć poznania autora przekładu Naty „Konika Garbuska”. Pracowałem wtedy nad tłumaczeniem „Witezia w tygrysiej skórce”, najwybitniejszego gruzińskiego poematu klasycznego. Powiedział mi o tym Pracy swojej nie ukończył. I wówczas, po śmierci Tuwima, poważałem się zabrać do tego poematu. Praca nad przekładem była doprawdy pasjonująca. Wtedy to chyba pokochałem Gruzję.

Od tego pierwszego kontaktu minęło wiele lat. Byłem trzykrotnie w Gruzji. Nie jestem przesadny, choć obawiałem się trochę tego trzynastego wyjazdu, tymczasem okazał się najlepszy. Może dlatego, że urodziłem się trzynastego?

Mam bliskie kontakty z pisarzami gruzińskimi. Są tak dawne, że niektórzy z nich już nie żyją, np. Simon Czikowani czy Georgi Leonidze.

Obecnie jadę do Gruzji po raz czternasty. Chcę zebrać materiały do antologii współczesnej poezji gruzińskiej, która ukaże się w Wydawnictwie Łódzkim. Przyjaciele obiecali mi dać filologiczne przekłady dokonane przez Gruzynów na język polski. Może to mój wpływ? Ale to na pewno ciekawe.

INFORMACJE

ŁÓDZIANKA WŚRÓD NAGRODZONYCH

Rozstrzygnięty został, ogłoszony przez ZG PCK oraz Krajową Agencję Wydawniczą RSW „Prasa — Książka — Ruch”, ogólnopolski konkurs na plakat propagujący honorowe krwiodawstwo. Spośród 127 prac które wpłynęły na konkurs, jury najwyżej oceniło pracę Kazimierza Kopeckich z go z Warszawy. Drugą nagrodę przyznano Tadeuszowi Ciałowiczowi z Wrocławia, a trzecią — Ewie Czaplickiej-Wiktorowskiej z Łodzi. Ponadto przyznano cztery wyróżnienia.

TEATR IDZIE DO WIDZA

Towarzystwo Kultury Teatralnej w Łodzi podpisało umowę o współpracy z pabianką fabryką włókienniczą „Pamotex”. W przygotowaniu są dalsze dwie umowy z łódzkimi zakładami ZPB im. Marchlewskiego i Fabryką Transformatorów „Elta”. Umowy dotyczą organizowania na terenie przedsiębiorstw imprez mających na celu przybliżenie teatru do widzów. Spotkania z ludźmi teatru, dyskusje nad twórczością wybranych autorów, fragmenty sztuk granych na łódzkich scenach, bądź dopiero przygotowywanych służyć będą edukacji teatralnej publiczności robotniczej.

Inną inicjatywą łódzkiego towarzystwa jest cykl imprez w gminnych ośrodkach kultury pod nazwą „Zapraszamy do teatru”. Pierwszy z tego cyklu wieczór zorganizowany wspólnie z Teatrem Nowym w gminie Parzęczew miał nadkomplet, co pozwala mieć nadzieję, że akcja mająca na celu zainteresowanie życiem teatralnym mieszkańców wsi spełni swoje zadanie i zachęci ich do odwiedzania łódzkich teatrów.

„STUDIO-SOJUSZ” W ŁÓDZI

Przy Łódzkim Domu Kultury powstał ośrodek młodych twórców, skupiający absolwentów szkół artystycznych: plastyków, muzyków, filmowców itp. ŁDK pragnie ułatwić start młodym twórcom będzie organizować wystawy malarstwa, fotografii, koncerty itp. zarówno we własnych salach jak i pomieszczeniach dzielnicowych, bądź zakładach domów kultury. ŁDK staje się też pośrednikiem w kontaktach młodzieży twórczej z zakładami pracy. Jedną z ciekawszych inicjatyw „Studio-Sojusz” w ramach którego młodzież będzie przygotowywać dla fabrycznych radiowców kroniki kulturalne, informujące o ważniejszych wydarzeniach, omawiające ciekawskie filmy, czy sztuki teatralne.

DZIESIECIOLECIE TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ PIOTRKOWA TRYB.

Dziesięciolecie działalności obchodzi Towarzystwo Przyjaciół Piotrkowa Trybunalskiego. Zrzesza ono ponad 3 tys. członków indywidualnych oraz pięć zakładów pracy jako członków wspierających. TPP współpracuje z innymi towarzystwami regionalnymi i organizowało zjazd takich towarzystw w celu wymiany doświadczeń i nakreślenia kierunków dalszej współpracy.

Staraniem TPP z okazji 500 rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika wzniesiono w mieście pomnik wielkiego astronoma duża prof. Ludwika Nitschowej.

Towarzystwo Przyjaciół Piotrkowa Tryb. jest inicjatorem m.in. konkursu „Cały Piotrków w kwiatkach”, mającego na celu podniesienie estetyki miasta oraz „Mój Piotrków” — poświęconego dziecięcym pracom malarzom i rysownikom o tematyce piotrkowskiej. „Złota wieża trybunalska” to kolejna inicjatywa towarzystwa — do roczna nagroda przyznawana mieszkańcom Piotrkowa za wybitne osiągnięcia rozświetlające miasto.

TEATR AMATORSKI

ORFA

Już cztery lata działa Teatr Poezji ORFA przy Radzie Zakładowej ZNP w Zgierz. Grupa on nauczycieli, a także studentów.

Teatr ORFA zaczął od etud poetyckich, wieczorów poezji i muzyki m.in. barokowej i romantycznej, inscenizacji „Zielonej gęsi” K. I. Gałczyńskiego. Później odbyła się premiera widowiska poetyckiego „A jesteście ziemia, glina, ołów, sól”, złożonego z tekstów Stanisława Grochowiaka i Ernesta Brylla.

Ambicje rosły. Środowisko widziało w ORFIE realizatora nieśmiertelnych marzeń o teatrze

miejskim. ORFA naprawdę stała się jego namiastką.

Podjęto się realizacji pierwszego widowiska dramatycznego. I to jakiego! Na afiszu ORFY pojawiło się słowo: Witkacy. Jego „Nadobnie i Koczkodany czyli Zielona Pigulka” — komedia z trupami w dwu aktach i trzech odsłonach — przyniosła zgłębienie teatrowi sporo splendoru. Z Witkacem ORFA objechała kawał Polski, dając ponad dwadzieścia przedstawień, zdobywając pierwszą nagrodę ogólnopolskiego przeglądu zespołów artystycznych Związku Nauczycielstwa Polskiego we Wrocławiu. Toż wi-

dowsko uczestniczące w Łódzkiej Przeglądzie Teatrów Studenckich przyniosło Marianowi Glinkowskiemu nagrodę za reżyserię. M. Glinkowski, filolog z wykształcenia, od dawna związany jest z teatralnym ruchem studenckim. Pamiętają go członkowie łódzkich teatrów STUL, PSTAG, QUANT. Od początku istnienia ORFY jest jej pierwszą osobą: reżyserem, scenografem (także) inscenizatorem (czasami), kierownikiem artystycznym. I tu od razu dodajmy: funkcję kierownika tego teatru pełni Antoni Spanowski.

W maju ub. roku ORFA wystawiła „Widzenia” według tekstów poetyckich K. K. Baczyńskiego i T. Borowskiego. Kontynuowano jednocześnie cykl spotkań poetyckich zatytułowanych „Poezja żywa”. W tej serii ORFA zaprezentowała etiudy poetyckie: Feliksa Rajczaka „Ku ujęciu”, Czesławy

Politańskiej „Z jakiego głodu jestem”, Ewy Grygiel, Jolanty Dąbrowskiej, Grzegorza Małeckiego „Zajść do wspólnego stołu”, Michała Daleckiego „Rekolekcje intymne”. Ich premiery odbywały się w Klubie ZNP „Pod świerczem” w Zgierzu, przy ul. Komuny Pańskiej 29. Rolę zapobiegliwej pani domu pełni tu Danuta Banasiak, kierowniczka placówki, na programach i afiszach ORFY jej nazwisko łączy się z funkcją teatralną: organizacja pracy. Dobra organizacja, trzeba powiedzieć...

Najwierniejszymi ORFIE są obecnie występujący: Jadwiga Siedlecka, Marek Siedlecki, Jerzy Banasiak, Grażyna Spanowska, Antoni Spanowski, Henryka Rajch, Danuta Góral, Krystyna Woźniak, Henryk Kaźmierczak, Tadeusz Kmiecik, Elżbieta Zebrowska, Grzegorz Bogusławski, Andrzej Wołski,

Elżbieta Kostur, Lucyna Piotrowska, Ewa Nowicka, Tomasz Drabczyński, Grzegorz Rajtar. Ze są potrzebni — świadczą żywe dyskusje i przeciągające się do późna w noc rozmowy po spektaklach: tak reagują odbiorcy ich teatru, nauczyciele, młodzież, robotnicy. Założeniem ideowo-artystycznym ORFY jest, generalnie ujmując, zaznaczanie swej dynamicznej obecności, kształtowanie ludzkich postaw.

Niedawo ORFA pokazała rzecz ambitną — Edwarda Stachury „Kropkę nad Ypsilonem”. Nie odczytujemy tego jak przysłowiową kropkę nad i, ani też jak znak diakrytyczny kończący dzieło. ORFA, czyli złota rybka z przemysłowego Zgierza, będzie płynąć dalej...

F.R.

PLASTYKA

WERNISAŻ W FABRYCE

„Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką” należy do najciekawszych inicjatyw ostatnich lat. Doniosła ranga społecznych efektów, jakie pragną osiągnąć partnerzy: nowoczesny mecnas — zakład przemysłowy i środowiska twórcze wymaga, by obok sformułowania zasad wymiany poszukiwano nowych, doskonalszych form współpracy. Obie strony mają dziś do zaoferowania bardzo wiele; chodzi zatem o wybór właściwej drogi spełnienia wzajemnych oczekiwań.

Dyrekcja jednego z największych łódzkich zakładów pracy — Fabryki Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej EMA-ELTA postawiła na ścisłą współpracę z plastykami. Podpisano ze Związkiem Polskich Artystów Plastyków porozumienie w sprawie szczegółowych zasad współdziałania. Na początek plastycy zaoferowali projekty monumentalnych form przestrzennych. EMA-ELTA podjęła się wykonania podczas zorganizowanego latem na terenie zakładu pleneru. Minie wkrótce

pół roku od wejścia porozumienia w życie, okres dostatecznie długi, by podjąć się pierwszej oceny.

„Początki nie były łatwe — stwierdza zastępca dyrektora fabryki Jerzy Jędrzejczak — bo projekty rzeźb Jana Grodka i Kazimierza Karpńskiego są równie udane, co... trudne do wykonania. Produkcujemy wprawdzie największe polskie transformatory, a przecież realizacja tych kompozycji zmusiła nas do podjęcia indywidualnych metod. Oddaliśmy zatem do dyspozycji artystów doświadczenie naszych konstruktorów i technologów — co okazało się konieczne — i wszelką pomoc techniczną. Początkowo rzeźby miały być wykonywane gdzieś na terenie, jak na prawdziwym plenerze. Tymczasem trzeba było zamieścić na pracowni rzeźbiarskiej jedną z naszych hal. Nie jest to pracownia zwyczajna, bo z suwnicą i ciężkim sprzętem do obróbki metalu... Przekazaliśmy nieodpłatnie materiały, wreszcie oddaliśmy sprawę w ręce fachowców o dużych kwalifikacjach. Nie ma co ukrywać, że trzeba ich było na początek przekonywać. Dzisiaj czują się

z tymi rzeźbami tak samo silnie związani, jak autorzy. Przeważała nie tylko ambicja zawodowa, ale i fakt, że efekty ich pracy będzie można podziwiać u nas, w zakładzie — podjęliśmy już decyzję zakupu. Dla naszych robotników praca jest więcej niż atrakcją; myślę, że ich po prostu wciągnęła. Ugodniliśmy, żeby na tabliczkach z podpisami umieścić nie tylko nazwiska rzeźbiarzy, ale i wszystkich bezpośrednich wykonawców”.

W pełnej dymu acetylenowych palników hal trwała szybka narada techniczna. Niektóre fragmenty aluminiowej kompozycji Kazimierza Karpńskiego trzeba montować na nowo — podstawa może nie wytrzymała jej ciężaru. „Postaramy się wyjść z twarzą z tej roboty — mówią z przekonaniem spawacze Wydziału TWI Henryk Zieliński i Marek Gumieny — Plastik jest u nas prawie codziennie, dogłada wszystkich i na bieżąco poprawia razem z inżynierami. Tu nie może być mowy o żadnych niedoróbkach, rzeźba pójdzie między ludzi i nie chcemy się jej wstydzić”. Czyste odpowiedzialne rzeźbiarzy są już dla pracowników ELTY codziennością. Portierzy przy wejściach witają ich jak starych znajomych, jak „swoich”.

Staliśmy bywalcem jest także łódzki rzeźbiarz Andrzej Jocz, który z ramienia Związku Polskich Artystów Plastyków przyjął odpowiedzialność za realizację porozumienia. „Nasza współpraca układa się znakomicie. Trudno było oczekiwać, że

opieka i pomoc ze strony dyrekcji i całej załogi ELTY będzie tak troskliwa. Decyzja o realizowaniu projektów kolegów Grodka i Karpńskiego równocześnie z normalną produkcją o sporym znaczeniu dla gospodarki nie była chyba łatwa. Mimo to nikt nas tu nie uważa za intruzów. Dla rzeźbiarzy okazja pracy w tak dużym zakładzie jest niepowtarzalna, a łódzcy twórcy dobrze ją wykorzystali. Mamy w ZPAP doświadczenia sprzed kilkunastu lat, kiedy rzeźbiarskie plenery organizowały u siebie elbląski ZAMECH i puławskie AZOTY. Tu można mówić o konkretnej różnicy, mianowicie ELTA zaoferowała kolegom pełnowartościowe materiały zamiast odpadów produkcyjnych czy ścinaków, oddała ludzi, halę i ciężki sprzęt. Nowość naszej współpracy polega na tym, że tworzymy wspólnie nie tylko interesujące dzieło sztuki, ale nową sytuację kulturową, nową kategorię zbliżenia twórcy i odbiorcy będącego równocześnie współtwórcą”.

Wkrótce przestrzenne kompozycje staną przed gmachem fabryki, będą jej wizytówką podobnie jak ustawiony wcześniej wzdłuż ul. Aleksandrowskiej ogromny transformator. To początek galerii, jaką EMA-ELTA zamierza stworzyć w ciągu najbliższych lat. A zatem porozumienie sprawdziło się i dało obu stronom wymierne korzyści.

Z pewnością po raz pierwszy w życiu (choć kto wie czy po raz ostatni) wezmą udział w

wernisażu inni niż zwykle goście: robotnicy i technicy z ELTY. Nikt nie spodziewa się, że można zmienić z dnia na dzień ich upodobania, przekształcić w zwolenników „abstrakcji” w rzeźbie. Mimo to wydaje się, że pierwsze lody zostały przełamane. Zanim socjologowie i estetycy zaczną badać przemiany świadomości ludzi mających dotąd jednostronny kontakt ze sztuką współczesną — potwierdza się słuszność przyjętych założeń i pewność, że akcja „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką” jest odpowiedzią na konkretną, uzasadnioną społecznie potrzebę. Chodzi przy tym o znacznie szersze aspekty niż materialne wykładniki współpracy. Włączenie do procesu powstawania dzieła sztuki potencjalnych odbiorców i propagatorów nadaje pojęciu „upowszechniania plastyki” nowe znaczenie; jest symbolem integracji możliwej do spełnienia jedynie w warunkach socjalistycznego modelu wzajemnych kontaktów.

„Sojusz” realizowany przez ZPAP i Fabrykę EMA-ELTA jest tego wymownym potwierdzeniem. Tymczasem — w jednej z hal Wydziału TWI trwa już ostatnie robocze uzgodnienia. Wernisaż w fabryce — już niedługo!

ANDRZEJ MAJER

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, WIESŁAW JAZDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANIKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

LONGIN INDISOW

BYĆ AKTYWNYM



Fot.: Archiwum

Na potrzebę stałej, szeroko pojętej aktywności społecznej w naszym życiu, wskazują zarówno dokumenty VI i VII Zjazdu PZPR jak i programowe wystąpienia kierownictwa partyjnego i rządowego. Urzeczywistnienie programu przyspieszonego rozwoju kraju, jako celu bliższego i zbudowania komunizmu, jako celu strategicznego wymaga nieustannego wysiłku, zaangażowania całego społeczeństwa. Zainteresowanie problematyką aktywności jest więc w pełni zrozumiałe, szczególnie jeśli postawimy sobie pytanie — jak tę aktywność wyzwać u ludzi, jak nadać jej walor stałości?

Próbę odpowiedzi na te pytania winny poprzedzać rozważania teoretyczne o pojęciu aktywności. Termin ten jest wieloznaczny, wymaga więc uściślenia. Można bowiem mówić o aktywności zawodowej, społecznej (społeczno-politycznej) i aktywności przejawiającej się w życiu osobistym. Trzeci aspekt aktywności poszerzyłbym na różne przejawy działalności pozazawodowej, określając to jako aktywność kulturową.

Aktywność jednostki ludzkiej wynika z określonej potrzeby. W pracy zawodowej potrzebą tą będzie chęć wykonania powierzonych sobie czynności w sposób jak najlepszy, najrzetelniej, w przekonaniu o społecznej użyteczności takiego działania (lepiej dla innych, to lepiej i dla mnie). W pracy społecznej — pomoc ludziom w kłopotach dnia codziennego. W rodzinie — wychowanie dziecka na wartościowego, mądrego i uczciwego człowieka.

Co łączy takie potrzeby, jaka jest motywacja naszej aktywności? Aby wywołać jakieś działanie (zachowanie) człowieka muszą zaistnieć u niego racjonalne przesłanki będące wypadkową różnorodnych bodźców. Ujmując rzecz strukturalnie napisalibyśmy:

BODŹCE — POSTAWY — REAKCJE

Zmienna niezależna w tym schemacie są bodźce, do których zaliczamy jednostki, sytuacje, kwestie społeczne, grupy społeczne oraz inne obiekty postaw, a także symbole, werbalne i wizualne. Następnym działaniem bodźców jest wyrobienie u jednostki ludzkiej sądu czy przekonania o fakcie

społecznym czy zjawisku. „Postawa pewnego człowieka wobec pewnego przedmiotu, — pisze S. Nowak — jest ogół względnie trwałych dyspozycji do oceniania tego przedmiotu i emocjonalnego nań reagowania oraz ewentualnie towarzyszących tym emocjonalno-oceniającym dyspozycjom względnie trwałych przekonań o naturze i właściwościach tego przedmiotu i względnie trwałych dyspozycji do zachowania się wobec tego przedmiotu”.

Z uwagi na zawarte w postawie trzy podstawowe komponenty: emocjonalno-oceniający, poznawczy (wiedza i przekonanie), behawioralny (zachowanie, gotowość do działania), pełni ona funkcję zmienną pośredniczącą między bodźcem a reakcją. Postawa w tym układzie jest czynnikiem motywacyjnym lub ukierunkowującym zachowanie ludzi. Stosując język fizyki, powiedzielibyśmy, że stanowi aparat przetwarzający energię nagromadzoną w energię kinetyczną.

Reakcje, będące zmienną zależną, przejawiają się w postaci ekspresyjnej, werbalnym ujawnianiu przekonań i konkretnym zachowaniu (działaniu). Reakcja, w której występują wymienione czynniki w postaci syndromu jest najbardziej pożądaną, jedynie wówczas możemy mówić o społecznej użyteczności zachowania człowieka, a także weryfikować manifestowaną czy deklarowaną jego postawę.

Zastosowany schemat: **BODŹCIE — POSTAWA — REAKCJA**, posiada duży stopień ogólności, ale wydaje się być wielce przydatny dla toku naszych rozważań. Interesują nas obecnie nie wszelkie reakcje (zachowania czy działania) ludzkie, ale tylko takie, którym nadajemy sens aktywności. W życiu codziennym spotykamy wiele przykładów deklarowania czy wręcz manifestowania, postulowanej przez socjalistyczny system wartości, postawy, bez gotowości do działania i zachowania lub działania ograniczonego zakresem własnego interesu, własnych korzyści. W pierwszym przypadku stwierdzamy aktywność na poziomie zerowym, w drugim — aktywność, z punktu widzenia społecznego, mało przydatną.

Aktywność tę, bo trudno jej odmówić tego miana, określam jako instrumentalną. Mianem aktywności instrumentalnej nazwiemy takie postawy i reakcje, które wywołują działanie mające na względzie własne dobro jednostki, jej społeczny prestiż, pozycję, które jednak nie naruszają powszechnie obowiązujących norm etycznych. (W tym zakresie aktywności nie mieszczą się, rzecz jasna, wszelkie działania kosztem społeczeństwa lub na jego szkodę zarówno w makro jak i mikroskali społecznej).

Antypodą takiej aktywności jest aktywność ideacyjna. Motywacją działania jest przede wszystkim dobro człowieka, przy jednoczesnym nieuwzględnianiu własnego interesu lub nawet rezygnacją z niego. Ten typ judymowskiego poświęcenia wpraw-

dzie godny pochwały, nie w pełni mieści się w socjalistycznym systemie wartości, który zakłada dobro każdej jednostki a nie poświęcenie jednej na rzecz drugiej. Niemniej taka aktywność społeczna występuje i nie sposób ją w naszych rozważaniach pominąć.

I wreszcie aktywność racjonalna, występująca wówczas, gdy w realizacji celów społecznych upatruje się także możliwość urzeczywistnienia celów osobistych. Człowiek jest jednostką społeczną i w społeczeństwie i poprzez społeczeństwo doskonalą siebie i swoje własne środowisko. Tak należy odczytać podstawową ideę socjalizmu. Aktywność racjonalna jest więc najbardziej społecznie użyteczna i jej poświęca się główną uwagę w wywołaniu ludzkich inicjatyw i działań w procesie budowy socjalizmu.

Aktywność racjonalna przejawia się w różnych płaszczyznach naszego życia. Na pierwszy plan wysuwa się aktywność zawodowa a to z uwagi na rolę jaką odgrywa w kształtowaniu socjalistycznego społeczeństwa i fakty, że przejawia się w najdłuższej fazie życia człowieka, jego czynnej pracy.

Aktywność zawodowa jest wypadkową wielu zmiennych: postawy ideaowej (społecznej zaangażowania), zasady rzetelnej roboty (dumy zawodowej), potrzeby społecznego uznania, umiejętności myślenia kategoriami państwowymi, wreszcie takich cech osobowych jak uczciwość, sumienność.

Jest to założenie modelowe. W praktyce często, z uwagi na zróżnicowania osobnicze, jedna lub kilka zmiennych stymulują działania aktywne człowieka. Na aktywność jednostki ludzkiej wpływa środowisko pracy: charakter grupy nieformalnej, układ więzi koleżeńskich, stosunki między ludźmi w układzie hierarchicznym a także upowszechnianie i przestrzeganie zasad sprawiedliwości społecznej.

Wymienione podstawowe, ale nie jedyne, czynniki motywacyjne zarówno immanentne jednostce ludzkiej, jak zewnętrzne wobec niej, wywołują aktywność zawodową jedynie wówczas, kiedy posiadają cechy pożądanego w socjalistycznym systemie wartości. Objawy zaś złych stosunków między ludźmi, jawna niesprawiedliwość czy kumoterstwo będą zdecydowanymi czynnikami motywacyjnymi osłabiającymi czy nawet zanik aktywności.

Drugim rodzajem aktywności występuje w społecznym działaniu człowieka, w jego uczestnictwie w instytucjach czy przejawach życia politycznego, społecznego oraz wychowawczego. Jest to szczególnie rodzaj szeroko rozumianej aktywności, na którą nie ma żadnego wpływu (czego nie można eliminować w przypadku aktywności zawodowej) ekwiwalent materialny czy prestiżowy. Podstawowym czynnikiem motywacyjnym, wywołującym aktywność społeczną jest zasada: dla ludzi poprzez ludzi. W tej zasadzie mieści się również dobrze pojęty interes własny. Autentycznie pożyteczna praca w samorządzie osiedlowym sprzyja two-

żeniu klimatu gospodarności, samopomocy, zbliżeniu mieszkańców i dążeniu do przyjaznych kontaktów. Nie pozostaje to bez wpływu na wychowanie młodzieży, dla której osiedle czy kamienica jest mikrośrodowiskiem społecznym.

Trzecia z rozpatrywanych sfer obejmuje aktywność kulturową przejawiającą się zarówno w życiu osobistym (rodzinnym), towarzyskim jak i szeroko pojętej styczności społecznej ludzi. Czy można przejawiać aktywność w życiu rodzinnym, aktywność mającą charakter społeczny? Pytanie jest retoryczne. Przecież dobrze rozumiana socjalizacja młodzieży leży zarówno w interesie rodziny jak i państwa, a ukształtowanie osobowości w okresie dorastania człowieka ma istotne znaczenie dla jego całego życia. Nasze państwo upowszechnia socjalistyczny system rodziny, w której harmonia i uznanie podstawowych wartości społecznych stymulują wychowanie dzieci. W tym przypadku motywacją do kształtowania osobowości jednostki ludzkiej będą wzory karier zawodowych, uznanie społeczne dla ludzi dobrej roboty, status społeczny specjalisty, ideowe zaangażowanie itp. Sposób czy metody wychowania należą już do sfery aktywności rodziny.

Analiza pojęcia aktywności społecznej nie może być pełna bez odpowiedzi na postawione we wstępie artykułu pytanie: jak tę aktywność wyzwać i jak nadać jej charakter trwałości? Odpowiedź, że należy wychowywać człowieka na miarę potrzeb rozwijającego się socjalistycznego społeczeństwa pozostanie sloganem, jeśli nie wskażemy na sposoby i uwarunkowania takiego wychowania. Aktywność społeczna, zależna zarówno od postawy jednostki ludzkiej, szerzej — jego osobowości oraz szeroko pojętych stymulatorów zewnętrznych.

Wychowanie człowieka i ukształtowanie jego osobowości dokonuje się w rodzinie — szkole — zakładzie (instytucji) pracy — środowisku. Ukształtowane cechy osobowe w domu i szkole podlegają modyfikacji w działalności zawodowej. Warunkiem sine qua non ukształtowania człowieka socjalistycznego społeczeństwa jest zgodność celów wychowawczych rodziny, szkoły i zakładu pracy. Dlatego zmierzamy do upowszechniania modelu wychowania racjonalnego i laickiego. Racjonalnego, tzn. łączącego autorytet i mądrość rodziców ze współczesną wiedzą pedagogiczną, łączącego cele rodziny z celami Ojczyzny i społeczeństwa. W tym też kierunku zmierza wychowanie szkolne, rozbudzające u młodzieży gorący patriotyzm, społecznikowską postawę i zainteresowania intelektualne.

W naszym społeczeństwie przeważa jednak tradycyjny model wychowania w rodzinie, dla którego układem odniesienia jest przeważnie doświadczenie i praktyka pokoleń. Ten model zawsze spełniał rolę statyczną, szczególnie dziś jest mało przydatny a nierzadko hamujący rozwój nowoczesnego człowieka.

Praca zawodowa stanowi trzeci i najdłuższy etap w życiu człowieka a z punktu widzenia społecznego najważniejszy. Na zakładzie pracy (instytucji) spoczywa obowiązek dalszego wychowania, a w tym wyzwalania aktywności zawodowej i społecznej człowieka. Oddziaływanie wychowawcze ma charakter zarówno instrumentalny — poprzez nakazy — zakazy, sankcje pozytywne — negatywne, szkolenie oraz funkcjonalny — działanie instytucji (zakładu) jako systemu społecznego. Ale ludzie nie stykają się tylko z jedną instytucją, zakładem pracy w którym są zrzeszeni, potrzebują społeczne człowieka wymagają styczności z wieloma różnymi instytucjami. Instytucje w naszym państwie stanowią system sterowania społecznego, mający na celu ukierunkowanie i pobudzanie ludzkich działań i zachowań. Dlatego eufunkcjonalne działanie instytucji będzie stymulować wyzwalanie pozytywnych motywacji i zachowań. W praktyce będzie to takie działanie, które traktuje petenta jako partnera, sprawnie i życzliwie załatwia prośby, sprawiedliwie rozdziela fundusz socjalny itp. Natomiast wadliwie będzie działanie instytucji, w której rytualizm, formalizm czy nieadekwatność zarządzania a więc dysfunkcjonalność instytucji osłabiają bodźce pozytywne albo sprowadzają je do punktu zerowego.

W systemie sterowania społecznego podstawową rolę odgrywają instytucje polityczne a szczególnie Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, która w skutecznym sterowaniu społecznym upatruje wyzwalanie wszelkich inicjatyw i działań ludzkich składających się na pomnażanie dorobku materialnego i duchowego narodu. Dzięki temu zbiorowemu wysiłkowi stwierdził E. Gierek: „Łos każdego Polaka jest dziś lepszy i bezpieczniejszy niż kiedykolwiek w historii. Wszyscy razem — jako naród — liczymy się w świecie politycznie i gospodarczo. Idziemy szybko naprzód. Od nas samych zależy dalsze tempo tego marszu. Musimy pamiętać, iż pozycji kraju, jego zasobność i dobrobytu nie otrzymamy się w darze. Można je zbudować jedynie zbiorową mądrością, zbiorową ciężką pracą, zbiorową codzienną dyscypliną”.

Aktywność społeczna każdego człowieka ma w tym niepoślednie miejsce.

DOKUMENTACJA I PUBLICYSTYKA

Publikowanie wyborów pism poszczególnych autorów nie zawsze wychodzi im na dobre. Często dopiero po przeczytaniu większej porcji tekstów dochodzimy do przekonania, że to, co nas niegdyś fascynowało, czytane w krótkich fragmentach na łamach prasy, zebrane w książkową całość po prostu się nie sprawdza. Wiem aż zbyt dobrze, że również i dziś nie wypadłaby u nas mowa o publicystyce Aleksandra Świętochowskiego inaczej, jak w najwyższych superlatywach, że każdy, kto byłby w tej sprawie omdlenego zdania, z łatwością zasłużył sobie na miano wstecznika. Tak jak gdyby publicystyka „Posta Prawdy” była żywa po dziś dzień, dotyczyła naszych spraw współczesnych. Ale po przeczytaniu dwóch opasłych tomów „Liberum veto”, wyboru pism publicystycznych A. Świętochowskiego dokonane przez Samuela Sandlera, a pracownice skomentowane przez Marię Brykalską (PIW 1976) nie doznałem zbyt wielkiej fascynacji. Prawda to, że miał Świętochowski pióro znakomite, że wspaniale czuł formę prasowego felietonu, że niejednokrotnie nad wyraz celnie piewował polskie naco, marazm intelektualny, klerykalizm i szlachetczyznę, drwił na funty z mieszczaństwa i burżuazji, epatował programową — w kategoriach epoki pozytywizmu — nowoczesnością. Ale prawda również, że te ulotne teksty, które niegdyś tak silnie bulwersowały polską opinię publiczną, odznaczające się znakomitymi walorami zarówno treściowymi jak formalnymi, że te fajerwerki polemicznego ferworu, ironii i dowcipu, dziś przybladły, straszliwie się zestarzały, straciły nadzwyczaj wiele ze swojej pierwotnej wartości. Gdybyśmy chcieli zestawzić ze sobą „Kroniki” Bolesława Prusa z „Liberum veto”, porównanie z pewnością nie wyjdzie na korzyść „Posta Prawdy” — teksty autora „Lalki” zestarzały się chyba o wiele mniej.

Czytam więc „Liberum veto” nie jako żywą wciąż publicystykę, jednego z najświetniejszych w naszym piśmiennictwie przedstawicieli tego gatunku twórczości, ale jako wielką wartość... dokumentację do spraw drugiej połowy ubiegłego, i początków naszego stulecia. Trudno mi się przy tym oprzeć przekonaniu, że publicystyka „Posta Prawdy” im dawniejsza, tym była lepsza, częściej trafiająca w sedno, podejmująca ważniejszą problematykę, nie powtarzająca sądów już raz powiedzianych, poglądów już wykorzystanych. Bo im bliżej pierwszej Wojny Światowej, tym bardziej — zdaje mi się — znika A. Świętochowski swój łot, co nie jest z pewnością bez związku z jego jakże znamiennej ewolucją ideową. Znamienne dla polskiego mieszczańskiego liberalizmu drugiej połowy XIX w., tej formacji społecznej i kulturowej, która potrafiła dać nam bardzo wiele, gdy walczyła ze złym dziedzictwem szlacheckiej przeszłości, wiele zaś mniej wówczas, kiedy musiała sprostać wymaganiom współczesności.

Nie był „Posta Prawdy” jedynym z szermierzy pozytywizmu, który stał się bezradny wobec konfliktów kapitalistycznego świata, wobec rozkładających się ruchów społecznych, wobec socjalizmu. W konfrontacji z socjalizmem mieszczański szermierz postępu... wybierał często drogę odwrotu. W każdym razie wkroczył na nią również A. Świętochowski. Przypatrzmy się dokładnie, jak zmienia się wówczas jego publicystyka: pojawiają się w niej całkiem nowe akcenty, stare wątki powracają w zgola odmiennym niż niegdyś ujęciu... Smutne to, lecz prawdziwe. Mniej jest wielkich problemów — nie tylko dlatego, że okoliczności cenzuralne utrudniały ich rozważanie — a więcej często celnych, dowcipnych, ironicznych wypowiedzi, tyle że... blących. I nagle niespodzianka: pod sam koniec drugiego tomu „Liberum veto”, gdy niczego się już właściwie nie spodziewamy i myślimy, że owe teksty z lat dwudziestych doczepił wydawca dla pełności zbioru, spotykamy się znowu ze znakomitymi felietonami, które warto przeczytać dwukrotnie, aby dojrzeć ich drugie dno. Osobiście uważam tekst „Jeszcze jeden projekt Konstytucji”, napisany w 1929 r. w związku z przygotowywanymi projektami rozszerzenia konstytucyjnej władzy prezydenta i organów wykonawczych, za rzeczywiście wspaniały. Wyobrażam sobie, ile musiał na sprawie kłopotu ówczesnym politycznym mecenasom A. Świętochowskiego, którzy — wszystkim wiadomo — do postępów nie należeli. Pewnie dlatego tylko strawili go na łamach „Myśli Narodowej”, że mówił bardzo źle, ale o sanacyjnej konkurencji. Ale nie gorzej jest i felieton „Konferencja”, z maja tego samego roku, pełen aluzji do dyktatorskich zapędów ówczesnych prominentów politycznych, z samej góry sanacyjnego świecznika władzy. Wybór publicystyki A. Świętochowskiego kończy również znakomity felieton „O wolności słowa, panowaniu prawa i rozkazach”... przeciw sanacyjnemu — „monopolistom swobody”.

LEKTOR

EWA LAŚKIEWICZ

Mam swoje miejsce urodzenia
(człowiek żyje kiedy może pójść i pokazać
— o tu się urodziłem w tych oknach)

...przyszłam na świat 11 lipca
rok nieważny
niczego nie dokonałam
dotychczas
posiadam ważny bilet tramwajowy
i ciasny pokój
z widokiem na park
bez widoków na przyszłość

Lecz oto są już ci obcy
zdejmują cegła po cegle to
co było tak nieuchwytnie ale moje

WOJCIECH WIŚNIEWSKI

TWARZ
kuchennego noża

na kuchennym stole
miał swoje miejsce nóż
najwykleszy
nadgryziony przez szczura
czasu
to był święty nóż
matka zawsze kroila nim
chleb powszedni
znak krzyża na żółto
rdzawej powale to był
czas noża
ileż tych krzyży ponad
spojrzeniami głodu?
chleb nie był tak ważny
jak majestat noża
on
czekał na modlitwę on kroil
on rozdzielał sytość
tak ten nóż co teraz leży
na śmietniku
był na pewno ręką matki święty

JACEK KRAKOWSKI

WĘDROWIEC

ogrody duszne kwiatami
odciskały do ciepłych krajów
polany w żaglach drzew
odpływały za morza
ziemia zwiła się w norach
zwierząt na długą zimę
nie ma nieba nad moim domem
nie ma mnie w domu moim

JACEK CHYLIŃSKI

Dziela nas schody
z milionem ziarenek piasku
co wpija się w naszą miękką skórę
raniąc wiosenne pączki
rodzących się kwiatów
pytasz...
gałązką akacji
znajdujesz słońce
ginące w ogromnych Chmurach
naszego zamyślenia
nadiągającej burzy
dziwisz się
bo ja z nadzieją wróbla zostaje

KAMIL PRZYBYLSKI

WIDZENIE

O zmierzchu
Podarowałem Ci
Gałązkę oliwną
Jak słowo
Które rozkwita
Pięciolistnym milczeniem

A teraz
Kiedy noc
Przynosi niepokój
Powracam w doskonałość
Mojego widzenia

Przebudził się około południa. Przez wąskie szyby okienka jesienne słońce rozświetlało ponurą izdebkę. Leżąc wypoczęty na łóżku, rozmyślał: „Wczoraj był dzień moich imienin, a Rysiek nawet karty z życzeniami nie przysłał. Synowa z wnuczką również zapomnieli o samotnym dziadku. Od czasu jak Rysiek awansował na magazyniera i przeprowadził się z żoną i synkiem do nowych bloków — jakby siekiera uciął. Od tej pory pojawił się chyba dwa, trzy razy, a od pół roku to nawet nie wpadł zapytać: jak żyjesz, staro rencisto? Choroba cię nie męczy? Głód nie doskwiera?”

Nie czuł jednak żalu do syna. Wiadomo: młoda żona, dziecko, awans w pracy, nowe mieszkanie, zabiegi o umeblowanie...

Ostatnio, jak Rysiek był u niego, uzałł mu się co nie miało: że dychawka, że reumatyzm, że z praniem i noszeniem wody coraz gorzej, a o węglu z komórki na piętro to nawet mowy...

Ciekawe jednak, że Rysiek nigdy nie wspomina o matce nieboszczce, która tyle nieprzespanych nocy spędziła nad jego kołyską, a przecież Adelajda była czułą i troskliwą matką i przez całą wojnę o głodzie i chłodzie męczyła się z chłopcem.

Nie dziwnego więc, że kiedy półżywy powrócił z obozowej kaźni do domu, zastał wynędzniałą Adelajdę w łóżku, a po miesiącu wraz z pogrzebnikami wrzucił do jej grobu grudki ziemi, które z głuchym dźwiękiem odbijały się od wieka trumny. Nie zalał się jednak. Siłomil ból, zgasił żal i z większą jeszcze energią zabrał się do pracy w fabryce, w której pracował przed wojną. Męczył się z synem przez kilka lat, ale nie uległ trudom i wytrzymał do końca, aż Rysiek ukończył ogólniak i został człowiekiem. Jednak jak sobie dobrze przypomniał, Rysio przez cały czas borykania się z ciężkim losem ani razu nie obdarzył ojca czułym spojrzeniem lub miłym słowem, nawet gdy chory, sterany obozową męką leżał w łóżku. Przecież go żywił, opierał i podbił mu zdarte zębami. I on, i nieboszczka byli dobrymi rodzicami. Skąd więc u Ryska ta obojętność, ta skamielina?

Ale Rysio przy dobrej żonie na pewno wyzbył się zapamiętałości i przypomniał sobie starego, osamotnionego ojca — pocieszał się starowina w łóżku. Przecież jak odwiedzał go ostatnio, to zostawił mu na stole dwudziestkę, która nie ruszona leży dotychczas pod popielniczką. Bo niby na co? Chyba na stawkę w domino lub warcaby rozgrywane u Bieńków. Inaczej nie może być...

A tego Bieńka to poznał w pobliskim parku miejskim, gdzie kilku rencistów i emerytów w pogodny dzień letnie rozgrywało na ławeczkach, pod cienistą akacją, ulubione partyki w pokera lub warcaby. Najbardziej spośród tych ludzi polubił Bieńka, który z cierpliwością wysłuchiwał jego bezustannych wspomnień obozowych i paplaniny o niezwyklej dobroci syna, synowej i wnuczki, którego w rzeczywistości nie widział od dawna.

Pokunali się wkrótce i doszło nawet do tego, że Bieńek zaczął wachlać do siebie zapraszać na warcabowe rozgrywki. Skorzystał z tego skwapliwie, bo osamotniony w mrocznej izbie czuł się jak wzięty z kasy na żywiole. Ileż to razy wrzucił się ze snu po nocach, a przekonawszy się, że żyje jeszcze, opadał na poduszki i kłął po trzykroć chorobę i starość. Od czasu do czasu nawiedzały go nawet myśli samobójcze, bo przecież nie strach przed śmiercią, ale przed niedoświeczeniem, przed bezradnością i nudą przenikającą serce każdego starego człowieka, który zamieszkuje z dala od rodziny lub jej wcale nie posiada.

Skorzystał więc z zaproszenia emeryta Bieńka i kilka razy w tygodniu zachodził do niego wieczorem na pogawędkę. Dziwił się anielskiej dobroci jego połowicy, która podawała im często po szklance dziwny, parzonej przeciw astmie i jelitowej kolce. A razu pewnego, gdy szykowała pranie, kazała mu przynieść jej brudną bieliznę. Taka to była kobieta.

Jak widać, wśród tej człowieczej zbieraniny zdarzają się jednak ludzie wrażliwi na nieszczęście i krzywdę bliźniego.

Pewnego razu umówili się z Bieńkiem, że każdy z nich na zmianę będzie kupował „Express”, który u Bieńków czytany będzie od deski do deski. A Bieńek potrafił z uczuciem jak klecha odstawiać z gazety

dramaty, że nieraz trzeba było lzy ocierać. Pewnego dnia nawet, gdy litościwym głosem wydukał o zbombardowanych przez Amerykanów domach i szpitalach w Pleiku, gdzie ginęli wietnamscy starcy i dzieci, to Bieńkowa, która doświadczyła wiele w czasie hitlerowskiej okupacji, ryknęła takim spazmem, że ledwie uspokoił niebożę. I tak upływały im długie wieczory na wspólnym czytaniu gazety, na grze w warcaby, na wspomnieniach o sanacyjnej nędzy, bezrobociu i krwawych strajkach lub, co się często zdarzało, na cukrzycowej drzemce.

Rozgłoszą zgryz gąsienic przejeżdżającej koparki obudził go z rozpamiętywania, więc powstał z łóżka i krztając się po izdebce, bladolil rozżalony: „Starość starością, Bieńek Bieńkiem, a chłopaka mojego jak nie widać, tak nie widać. Może coś się stało w fabryce, może synowa chora lub, co nie daj Boże, wnuczek?” Czuł, jak mu serce uderza niespokojnie, bo wczorajszej nocy ujrzał we śnie syna stojącego w otwartych drzwiach, bladego, w czarnym garniturze i białych rękawiczkach.

Zaniepokojony, postanowił stanowczo, że nie pójdzie dziś do Bieńka, lecz odwiedzi syna — i począł żałować, że nie przyszedł mu to wcześniej do głowy.

dzie ze szkolenia, więc może odprowadzić teścia do tramwaju, co? — troskliwie dopytywała się zaniepokojona synowa.

— Sam pójde, moje dziecko, bobym tu dłużej nie wysiedział, a wam niech Bóg błogosławi dalej... A tu, ot, paplerek dwudziestolotowy, pozostawiony kiedyś przez Ryska u mnie na stole. Oddaj mu to...

— Na pewno, ojciec, bo u nas krewa z pieniżkami! — powiedział synowa. — Składamy na trabanta.

— Na kogo?
— No, na auto!
— Na samochód? — zapytał zdumiony.

— A w niedzielę do lasu lub nad rzekę to tramwajem lub koleją mamy się w tłoku telepać z dzieckiem? Co też teść sobie myśli? Przecież Rysiek jest magazynierem. Laboga, wielkie mi rzeczy samochód! — pytowała, aż wreszcie usłyszał trzask zasuwki zamykanych za nim drzwi.

Odetchnął z ulgą na świeżym powietrzu i poczuł się rażnziej. A więc nie zastał syna zaharowanego pracą i tym szkoleniem. Biedny chłopak, tyle ma teraz roboty, trosk, zmartwień i kłopotów z tym trabantem. „Naprawdę biedne to moje dziecko” — myślał czekając zniechęcony na przystanku.

ANTONI KASPROWICZ

CZŁOWIEK
Z SIWYMI WĄSAMI

Budzik wskazywał godzinę szesnastą, gdy ogolony i przyodżiany w świąteczny garnitur — przyszykowany z wczesną w szafie na śmiertelny pochówek — zakluczył mieszkanie i udał się do tramwajowego przystanku.

Syn, którego odwiedził już dwukrotnie, mieszkał w nowym osiedlu w północnej dzielnicy miasta i należało wysiąść na krańcówce, skąd po krótkiej pieszej wędrówce dochodziło się do bloków przypominających wojskowe koszary.

Dopiero po czwartym dzwonku zjawiła się w drzwiach zdumiona i zaskoczona wizytą synowa pachnąca odurzającymi aromatami kuchni.

— Ach, to ojciec! Tu wycieraczka — powiedziała i zniknęła w kuchni.

W pokoju ozdobionym klimatami i landszaftami, na czerwonym dywanie, obok tapczanu, stał okrągły stolik nakryty serwetą, a pod oknem, na wysokim stojaku — telewizor z matowym ekranem.

W chwili gdy rozglądał się po mieszkaniu, z pokoju sypialnego wyjrzał jasnowłosy chłopiec i przyglądając mu się uważnie, zapytał:

— To ty, dziadziuś?
— A ja!
— A gdzie wachy?
— Ot — powiedział starowina podkręcając sumy.

— Bo tatuś mówi: „Gdy wachala kipnie, będzie nam bieda i plótki w fabryce albo co gorsze”. A mama wzdycha: Uchroń nas Boże...”

Wtem w uchylonych drzwiach kuchni ukazała się synowa i apetyczny zapach rosołu musnął mu nozdrza, a w przegłodnym żołądku zemdlilo nagle i zaszumiło w uszach, aż zachwiał się i opadł na krzesło, zanim przeżona synowa zdążyła wykrzyknąć: — Niech teść usiądzie!

— To tylko serce i reumatyzm, i ta cholerna astma — uspokajał nachyloną nad nim synowa. — Ot i już przechodzi... — Mamo — wyskoczył rosołu z makaronem, to mu ta astma przejdzie...

— Cicho, smarkaczu! — skarciła go matka. — Jak dziadek będzie chciał jeść, to sam powie, prawda, ojciec?

— Nie jestem głodny, o nie! A przyszedłem do was — usprawiedliwiał się starowina — bo miałem sen paskudny. Więc chciałem zobaczyć, jak żyjecie, jak wam się powodzi, no i, co tu gadać, stęskniłem się za wnuczką.

— Ale Rysio późno dziś przy-

Wreszcie gdy tramwaj nadjechał, wsiadł i zajął w kąciku wolne miejsce. Rozejrzawszy się po pasażerach zauważył, że tylko on jeden w ten chłodny, jesienno-wieczór nie ma płaszcza. Jechał więc smutny i zawstyżony, on, ojciec magazyniera.

Nazajutrz po męczącej, nieprzespanej nocy znalazł się około wieczora u Bieńków, zaniepokojonych jego wczorajszą nieobecnością.

— U syna byłem — powiedział i siadł przy stole.

— I co u twego syna? — zapytał Bieńek skwapliwie.

— Wszyscy zdrowi i bogato mieszkają: pokoje, telewizor, radio, dywany. Wkrótce kupię trabanta.

— Auto? — wykrzyknął zdumiony Bieńek.

— A czym, u diabła, będą jeździć w święta do lasu, nad rzekę? W tramwajach i kolejach mają się telepać w tłoku wraz z dzieckiem? Co też Bieńek sobie myśli... Wielkie mi rzeczy, auto, laboga! Każdy magazynier powinien mieć auto.

— A jak was przyjęli? — podchwyciła Bieńkowa.

— Jak przyjęli? Jak przyjęli? Syn — wódką, synowa — rosolem z kura, a wnuczek wyłaskał mi wachy, że hej... Prosił nawet, żebym u nich został na kilka dni, ale odmówiłem.

— A dlaczego ten twój Rysiek nie odwiedza cię tak długo, powiedział, wachalo, co?

— Rysiek, Rysiek. Przecież dobrze wiesz, mój Bieńek, że Rysiek jest magazynierem. Pracy mnogo, a poza pracą — szkolenia i szkolenia. Więc niby kiedy... uważasz? Gdy odechodziłem, to Rysiek ucałował mi obie ręce i wściłbnał do kieszeni cztery nowe stowy... Cztery nowe stowy, powiadam wam uczciwie, moi drodzy. Kiedy sobie o tym wspomnę, to niech mnie szlag trafi, bo w sercu robi mi się tak ckiwo, że... — mówił drżącymi wargami, a uspokoiwszy się nieco dodał po chwili dumnie: — O, nie każdy, moi drodzy, może mieć takiego syna! Oj, nie każdy...

Tego dnia nie rozegrali żadnej partyjki bo Bieńek opowiadał jak to wczoraj rano w mieszkaniu przy ulicy Mrocznej sąsiedzi odkryli rozkładające się zwłoki samotnego emeryta, którego syn jest podobno aktorem w jakiejś Estradzie na Pomorzu.

— Kłęli ludzie i pomstowali, gromadząc się koło domu nieboszczka, że wstyd, że hańba i przekleństwo dzieciom, co zapominają o chorych i samotnych rodzicach — opowiadał zdenerwowany Bieńek krążąc po po-

koju. — Przyjechała karetka, nadleciała milicja, a ludzie nic, tylko w kółko to samo — kończył Bieńek, któremu przerwała małżonka.

— Na pewno jutro będzie stalo w gazecie.

— Nie daj Boże, żeby mnie spotkało co podobnego. Mój Rysiek otrulby się chyba lub wykończył w tej swojej fabryce — powiedział przerażony wachala, zatrzymując się z pożegnaniem w uchylonych drzwiach.

Na próżno przez kilka wieczorów oczekiwał staruszek nadejścia syna. Na próżno za każdym skrzypnięciem schodów nadstawiał ucha, tłumiąc dlonią pulsujące serce. Na próżno wzdychał po nocach, ocierając łzy rękawem koszuli. Na próżno! Syn się nie zjawiał.

Markotniał więc staruszek i sechł coraz bardziej. Coraz też częściej odczuwał rwący ból w obrzmiałych stawach i plekający ucisk pod sercem. Gdy wchodził po schodach z pudełkiem węgla lub dzbankiem wody, odpoczywał po kilka stopni i wzdychał: — O, gdyby żyła biedna Adelajda, o, gdyby...

Od czasu, jak nawiedzały go te okropne bóle, coraz wcześniej kładł się do łóżka i coraz rzadziej odwiedzał Bieńka. Przeklinał teraz po nocach chorowitą, zniechęcającą starość, przeklinał dzień, w którym trzeba było zejść do sklepu lub do studni.

Najgorsze jednak, że nie spodziewał się znikąd pomocy, bo syn... Wiadomo, krewni daleko, a sąsiadki unikały starucha bezbożnika. Wczoraj, gdy prosił wychodzącą do sklepu Łatkowską, by kupiła mu z łaski swojej półtoraczek, prychnęła:

— Mam swoich kłopotów dosyć na głowie!

Oj, ludzie, ludzie...

I wreszcie nastąpiła chwila, że nie mógł wygramolić się z pościeli i, głodny, cały dzień przeleżał w łóżku, rozmyślając: „W kościach rwie i łamie, nogi puchną i coraz częściej brak tehu w piersiach, więc o poprawie nie ma mowy, a pomocy znikąd...”

Bardziej przejmowała go strachem myśl, żeby nie kipnął i nie gnił, jak ten na Mrocznej, zapomniany przez syna, Boga i ludzi, a zhańbiony Rysiek był powodem przekleństw ludzkich w blokach, na ulicy, a co nie daj Boże, w fabrycznym magazynie.

Ale on, dobry ojciec, wie doskonale, że nie doprowadzi do takiego momentu... Nie na próżno przecież rozmyślał ostatnio po nocach, jak by tu z honorem wyjść z tego skłóconego świata i syna od hańby uchronić... To jego pomyślnie.

Kiedy więc pewnego dnia wpadł do niego zaspany Bieńek, zaniepokojony i lękunliwa nieobecnością wachali, staruszek oznajmił mu:

— Dziś sobota, bo otrzymałem rentę, a jutro już mnie w domu nie ma, i u ciebie mnie nie ma, bo będę przez tydzień siedział u syna. A jak wrócę, mój Bieńek, to znów będziemy rozgrywać partyjki i niuchać w „Expressie”. Przecież mówiłem ci, że zapraszali, że błagali mnie... A przez te kilka dni u syna wypocznę sobie, nażnę się do syta i uraduję... Bo u niego gaz, u niego elektryka i radio, i telewizor u niego, i centralne u niego, i nawet wychodek w mieszkaniu. Więc jak ty, Bieńek, uważasz, co?

Na próżno jednak Bieńek po upływie tygodnia wyglądał niecierpliwie wachali. Nadszedł poniedziałek — wachali nie ma, nastąpił wtorek — nie ma, we środę i czwartek też nie ma, a i w piątek oczekiwali go daremnie do późnego wieczora. Bieńkowa jednak była pewna, bo śniła się jej jaskółka, że bezapelacyjnie w sobotę zjawi się u nich, musiał bowiem dłużej zabawić u syna.

Uspokojony zapewnieniami żony, stroskany Bieńek kręcił się po mieszkaniu, mamrotał do siebie, od czasu do czasu machał ręką, jakby mniemając, że wreszcie zniecierpliwiony wybiegł do pobliskiego kiosku. Gdy powrócił, złożył drucina ne okulary i zaczął przy stole przeglądać „Express”. W pewnej chwili zerwał się nagle i z trzaskiem odrzuciwszy krzesło, krzyknął:

— Agnieszko! Wskoczyła przerażona z kuchni, a on podsunął gazetę pod okulary i, dukal: „Komunikat MO. W dniu 20 listopada w lesie podmiejskim odkryto zwłoki wisiela w wieku około 60 lat. Wzrost 170 cm, sylwetka szczupła, długie, siwe włosy. Przy zwłokach denata nie znaleziono żadnych dokumentów. Ktośkolwiek posiada jakąś informację... — nie dokończył Bieńek, bo zachłystnął się łzami, a gazeta z drżących rąk wypadła mu na podłogę.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PROTOKÓŁ Z PEWNEGO SPOTKANIA



Fot.: Archiwum

Powiedziano mi:

— Są różne kluby. Lepsze, gorsze. Klub „Ruchu” w Podklasztorzu należy do dobrych. Odbývá się tam różne ciekawe spotkania. Cieszą się one wielkim zainteresowaniem. Tylko...

— Tylko co?

— Tylko, że tam każda dyskusja sprowadza się do sprawy... drogi.

— Dlaczego? Nie ma kto im drogi wybudować? A sami?

— To nie takie proste — powiedziano mi.

Budowa drogi nie jest może sprawą nazbyt atrakcyjną, ale rozumiem, że dla wsi ważną. Postanowiłem więc wybrać się z jakimś prelegentem do Podklasztorza i posłuchać dyskusji o drodze. Tak powstał niniejszy protokół, który opiera się na autentycznych wypowiedziach ludzi zebranych w Klubie „Ruchu”, chociaż pozwoliłem sobie na ingerencję w przebieg spotkania i takie uformowanie faktycznego materiału, aby rzecz cała była ciekawa i mogła zainteresować Czytelnika.

PALEC ZA 300 ZŁOTYCH

Prelegent skończył i nie było zwykłej w takich sytuacjach chwili milczenia, oczekiwania na pierwszego dyskutanta, rozważania w milczeniu pytań, wątpliwości i racji. W ostatnie słowa Prelegenta weszła Emerytka.

EMERYTKA: — Pan tu tak ładnie mówił o odpowiedzialności o potrzebie współdziałania, o tym że wspólnymi siłami wiele można zdziałać, że najgorszym wrogiem postępu jest obojętność. To wszystko prawda. My tu nie jesteśmy obojętni. Mamy swoje postulaty, propozycje, które — jak mi się wydaje — wynikają z troski o poprawę warunków życia mieszkańców Podklasztorza. Skierowaliśmy je na piśmie, z wieloma podpisami, do władz i wówczas z Opoczna przyjechali panowie, którzy mieli wiele pretensji do nas i zarzucali nam rozróbkę. Nawet do odpowiedzialności próbowali pociągać.

PRELEGENT: — A kiedy to było?

EMERYTKA: — W trakcie przygotowywania reformy administracyjnej. Postulowaliśmy, aby Podklasztorz zostało włączone do Sulejowa, co wynika z naturalnego położenia naszej miejscowości i z naturalnych związków. Ale stało się inaczej i należymy do gminy Mniszków.

Z NOTESU: „Chyba przed dwudziestoma laty napisałem — dla „Odgłosów” zresztą — reportaż z Sulejowa. Wówczas też mówiono o tym, że Podklasztorz powinno być integralną częścią Sulejowa. Rodziła się tylko Pilica. Sądziłem, że w wyniku reformy administracyjnej dokonanej w czerwcu 1975 roku ten sztuczny podział został zlikwidowany. Tak nakazywałyby logika. Ale widać stało się inaczej.”

LEKARZ: — Ośrodek zdrowia jest w Błogim. W Sulejowie nie przyjmuje się pacjentów z Podklasztorza. Odsyła się ich do Błogiego. Czasem nawet w bardzo niegrzeczny sposób.

KOBIETA Z ZAWINIĘTĄ REKĄ: — Ale chętnie przyjmuje się nas prywatnie.

PRELEGENT: — Ile jest kilometrów do Błogiego?

KILKA GŁOSÓW: — Sześć kilometrów.

PRELEGENT: — A do Sulejowa?

KILKA GŁOSÓW: — Półtora kilometra.

KIEROWNICZKA KLUBU: — Do granicy jest tylko 500 metrów, a do centrum Sulejowa półtora kilometra.

KOBIETA W CZARNYM PŁASZCZU: — Ale do szkoły w Sulejowie jest trzy kilometry.

PRELEGENT: — A jaka jest komunikacja z Błogim?

KILKA GŁOSÓW: — Nie ma żadnej.

PRELEGENT: — Jak to?

KOBIETA Z ZAWINIĘTĄ REKĄ: — Kiedyś była komunikacja autobusowa, ale zlikwidowano ją ze względu na zły stan drogi. Podobno ktoś interweniował w tej sprawie aż w Warszawie i na skutek tego gmina postarała się o poprawienie tej drogi. Prace

trwają. Coś się robi, tylko że bardzo wolno.

MŁODZIEŃCZAK Z JASNĄ BRODĄ: — Zostało jeszcze dwa kilometry do zrobienia. Może jak to zrobią to ruszą autobusy. Ale kiedy to będzie?

LEKARZ: — Pracuje u nas w Błogim pielęgniarka, która tu mieszka. Przyjeżdża do pracy o godzinie szóstej, bo tak kursuje autobus pracowniczy w tym kierunku. Jest to autobus tylko dowożący pracowników, a nie normalnej komunikacji. Pracę zaczynamy o godzinie siódmej, a tylko ona o szóstej. Do domu wraca własnym pomyślem, albo zabierze się z kimś, jakąś furmanką, albo wyjdzie na drogę główną i łapie okazję, albo musi iść piechotą.

Pacjenci, kiedy muszą przyjechać do Ośrodka Zdrowia, na przykład z dziećmi do szczepienia, wynajmują taksówkę. Utafił się już taki zwyczaj, że jak przyjeżdża taksówka z Sulejowa, to pacjent wchodzi bez kolejkę, aby nie musiał długo trzymać samochodu i nie przepłacać.

Ale bywa też i tak, że pacjent nie może dojechać do Błogiego. Idzie więc prywatnie do Sulejowa, bierze lekarstwo, kładzie się do łóżka, a do mnie czy do innego lekarza w ośrodku przysyła dziecko, które mówi, że tata jest chory i prosi o zwolnienie. Nie mogę dać zwolnienia z pracy na słowo honoru, więc muszę siadać do samochodu i jechać do chorego, aby stwierdzić to, co już stwierdził inny lekarz. A przecież w tym czasie czekają inni chorzy.

Z NOTESU: „Dla lekarzy sulejowskich bardzo to wygodna i korzystna sytuacja. Wcale się nie dziwię, że w ośrodku niechętnie widzą pacjentów z Podklasztorza.”

KOBIETA Z ZAWINIĘTĄ REKĄ: — Kiedy mam dać 100 złotych na taksówkę, to wolę dać tyle samo lekarzowi w Sulejowie i mieć mniej kłopotów. Ale teraz zraniliam palec i za zabieg i wizytę zapłaciłam 300 złotych. To już naprawdę przesada.

LEKARZ: — Dowiedziałem się niedawno, że ma się to zmienić, że Podklasztorz, jeśli chodzi o służbę zdrowia, ma należeć do Sulejowa. Podobno przygotowuje się taka decyzja. Jest to jednak nie pierwsza taka wiadomość. Mówi się już o tym od dawna, a sytuacja jaka była taka jest.

POCZTA

EMERYTKA: — Taka nieporadna sytuacja jest nie tylko z Ośrodkiem Zdrowia. A jak jest z pocztą?

PRELEGENT: — Z pocztą? Poczta chyba jest w Sulejowie i nie ma żadnych przeszkód, aby z niej korzystać.

EMERYTKA: — Niezupełnie jest tak.

PRELEGENT: — Nie rozumiem.

DZIEWCZYNA Z WARKOCZEM: — Wszystkie opłaty, na przykład za radio i telewizję powinniśmy regulować w tym urzędzie pocztowym, który prowadzi ewidencję. Ale wiele osób tego nie robi i nadal płaci w Sulejowie. W końcu to sprawa poczty, jak sobie załatwia wewnętrzne rozliczenia.

KOBIETA Z ZAWINIĘTĄ REKĄ:

— A paczki!

DZIEWCZYNA Z WARKOCZEM: — Właśnie. Paczki. Paczki przychodzą do Urzędu Pocztowego w Błogim i trzeba jechać po nie aż tam. Po co? Przecież do Sulejowa jest bliżej. I jak po nie jechać? Czym?

MŁODZIEŃCZAK Z JASNĄ BRODĄ: — Najlepiej nie otrzymywać paczek. Nie będzie kłopotu.

DZIEWCZYNA Z WARKOCZEM: — To też trzeba byłoby nie mieć radia i telewizora i w ogóle nie korzystać z poczty. A przecież poczta jest dla nas, a nie my dla poczty.

Z NOTESU: „A miało być o drodze”.

IDZIE, JAK „URSUŚ”

KIEROWNICZKA KLUBU: — Kursował kiedyś Tomaszowa do Piotrkowa Trybunalskiego autobus, który jechał przez Błogie i Sulejów. Kiedy w Podklasztorzu zlikwidowano ośmioklasową szkołę, zostawiając tu klasy od pierwszej do czwartej, matki z Prócheńska Dużego wystąpiły o taką zmianę godzin kursowania autobusu, aby dzieci mogły dojeżdżać do Sulejowa. Bo dzieci starsze z dawnej szkoły w Podklasztorzu przeniesiono do szkoły zbiorczej w Sulejowie.

KOBIETA W CZARNYM PŁASZCZU: — Obiecano nam wtedy, że po dzieci będzie przyjeżdżał specjalny samochód. Ale taki samochód to możemy tylko obejrzeć w telewizji. Po nasze dzieci nie przyjeżdża. Jak spadnie śnieg to dzieciaki wkładają gumowe buty i idą przez ten śnieg jak „ursus”.

LEKARZ: — Po takim marszu to najczęściej dziecko zamiast do szkoły trafia do mnie.

PRELEGENT: — Ile jest kilometrów z Prócheńska Dużego do szkoły w Sulejowie?

KOBIETA W CZARNYM PŁASZCZU: — Do szkoły w Podklasztorzu dzieci mają trzy kilometry. A stąd do szkoły w Sulejowie — drugie trzy, bo szkoła leży pod Górą Strzelecką. Razem: sześć. Ale jak zabierano nam szkołę w Podklasztorzu, to mówili wtedy, że dzieci będą miały tylko trzy kilometry. No i obiecywali, że po dzieci będzie przyjeżdżał samochód, że będą miały elegancko i wygodnie. A co jest?

KOBIETA W CHUSTCE: — Jak poszliśmy do dyrektora szkoły w Sulejowie, żeby pomógł naszym dzieciom, to powiedział abyśmy się cieszyli, że w ogóle chciał wziąć nasze dzieci. A bo to one gorzej od innych? To nie jego obowiązek uczyć dzieci? Komu szkoła laska robi?

Rację mieli ci, co mówili: — nie posyłajcie dzieci do szkoły. To może się w kuratorium zastanowić, co zrobić. Ale my nie posłuchaliśmy i szkoda.

PRELEGENT: — To nie jest metoda. Tak nie można postępować.

KOBIETA W CHUSTCE: — A obiecywać tylko to można? Gdzie my już nie byli. W kuratorium my też już byli. — Poczekajcie — powiedzieli. — Ciężkość — powiedzieli. A tu przecież o dzieci chodzi.

KOBIETA W CZARNYM PŁASZCZU: — Jak się te dzieciaczki mają uczyć. O pół do siódmej już z domu wychodzą, aby do szkoły zdążyć. To raz to po ciemku już wracają. Zmęczone. Kiedy lekcje mają robić?

PIENIĄDZE NA DROGĘ

KOBIETA W BEŻOWYM PŁASZCZU: — Na drogę do Piasków też każą czekać. A czy ktoś pomyślił, czym dla chłopca jest droga?

Z NOTESU: „A jednak. Teraz będzie wreszcie o tej drodze.”

KOBIETA W BEŻOWYM PŁASZCZU: — Tę drogę wybudowaliśmy w czynie społecznym. Ale jak budowali zalew na Pilicy, to ciężkie samochody drogę dokładnie rozjeżdżali. No i teraz nie ma drogi.

PRELEGENT: — Ale Zalew Sulejowski wybudowano dość dawno.

KOBIETA W BEŻOWYM PŁASZCZU: — I dawno drogę rozjeżdżali.

PRELEGENT: — No, a ci co ją rozjeżdżali? Oni powinni byli drogę naprawić.

KOBIETA W BEŻOWYM PŁASZCZU: — Przedsiębiorstwo daje na to pieniądze. Ośmiędziesiąt tysięcy złotych. Tylko zrobić tego nie ma kto.

PRELEGENT: — A z naczelnikiem gminy rozmawialiście?

KOBIETA W BEŻOWYM PŁASZCZU: — Rozmawialiśmy. Każę czekać. Aż znajdzie się wykonawca. A drogi nie ma.

PRELEGENT: — No, a wy sami.

KOBIETA W BEŻOWYM PŁASZCZU: — My sami robimy, co możemy. Ludzie dają konie. Przywożą piasek, żwir. Sama dałam 100 złotych za przyczepę żwiru, aby rozsypaną przed domem, to przejechać nie można było. Ale to na nic. Droga jest tak zniszczona, że trzeba ją zbudować od nowa.

Z NOTESU: „W samochodzie opowiadał mi później kierowca, że próbował kiedyś przejechać tą drogą. Istotnie jest rozjeżdżona dokładnie. Samochód tam żaden nie przejeździ. Chyba zimą po zamrożniętej ziemi.”

LEKARZ: — Przyszła kiedyś do mnie dziewczynka i powiada: — Pani doktorze, tatuś jest chory, proszę do tatusia przyjechać. Popatrzyłem na nią i pytam: — A gdzie mieszkać?

— Na Piaskach — odpowiada. — A w Sulejowie — pytam — tatuś nie był u lekarza? — Nie — mówi. — Chcieliśmy, aby przyjechał lekarz z Sulejowa, ale on zażył sobie, aby go tam zawieźć taksówką, a żaden taksówkarz w Sulejowie nie chciał jechać na Piaski.

Więc pojechałem. Samochód zostawiłem tu niedaleko. Włożyłem gumowe buty, wziąłem latarkę w rękę i dalej poszedłem pieszo. Zobliłem tak, bo to mój lekański obowiązek.

KOBIETA W BEŻOWYM PŁASZCZU: — Pogotowie do nas też nie chce przyjechać. O tym, żeby wezwać pogotowie z Sulejowa, nie ma co marzyć.

A jakby zaczęli budować drogę, to ludzie pomogą. Tylko, żeby zaczęli. Ale nie ma kto się za to wziąć. Pieniądza na budowę drogi są. A drogi jak nie było tak nie ma i kto to może wiedzieć, kiedy będzie. Naczelnik gminy tego też nie wie. Pisali my w sprawie do Piotrkowa, ale oni tam też nie wiedzą.

JESZCZE KILKA SŁÓW

Już na zakończenie. Kilka słów komentarza.

Bardzo mi się podobało spotkanie w Klubie w Podklasztorzu. Było rzeczowe, spokojne. Mówiono o faktach, o paradoksach. Bez zapalczywości, pieniactwa, rozrabiania. Może tylko z żalem, że tyle się o tym mówi, że się stało do tych spraw wraca, a ci, co tych pretensji wysłuchują, odjeżdżają i wszystko pozostaje po staremu.

Być może potrzeba byłoby zebrania w Podklasztorzu, na którym radni do Gminnej Rady Narodowej złożyliby sprawozdanie ze swej działalności i wypowiedzieli się na temat tego, jak reprezentują interesy swoich wyborców. Być może potrzeba, aby do Podklasztorza przyjechał naczelnik gminy w Mniszkach i wyjaśnił, konkretnie o możliwościach racjonalnego załatwienia tych i innych potrzeb tego terenu. Być może byłoby dobrze, aby pofatygowali się tam ktoś z wojewódzkiego Piotrkowa Trybunalskiego. Bo przecież sprawy, które tak nurtują mieszkańców Podklasztorza, choć zdecydowanie ważą na warunkach ich życia, nie są sprawami, które nie mogą być rozwiązane. Tym bardziej, że wszystko znajduje się w jednym województwie. Potrzeba tylko dobrej woli i wystąpienia do wyższych władz o formalne załatwienie niektórych służnych w gruncie rzeczy wniosków.

Przedstawiciel „Ruchu”, który mi towarzyszył w „wyprawie” do Podklasztorza, powiedział, że władze w Mniszkowie niechętnie patrzą na spotkania w Podklasztorzu, tłumacząc się, że nie o nich nie wiedzą, a tam rozważa się ważne sprawy gminy. Ale — jak twierdził przedstawiciel „Ruchu” — są o tych spotkaniach powiadomiani. Nie śmiem więc podejrzewać, że im jest niewygodnie spotkać się z mieszkańcami Podklasztorza. Nie dziwiłbym się zresztą, gdyby tak było.

Na zakończenie spotkania Prelegenta obdarowano kwiatami i życzonko mu, aby następnym razem przyjechał do Podklasztorza, jak już te wszystkie bolączki będą usunięte. Dziwnie to życzenie, bo właściwie to on powinien tego życzyć swoim słuchaczom.

REFLEKSJE

Jerzy Urban napisał niedawno w „Szpilkach”: „powiedzmy, że zwirował i chce obejrzeć angielski serial „Wona i pokój”. Ten złośliwy żarcik mówi właściwie wszystko o angielskim lasiemu na motywach arcydzieła Lwa Tolstoj. Podejrzewam, że komisia zakupów zasnęła już po pierwszym odcinku, budząc się po dwudziestu godzinach.

„Wojnę i pokój” inteligentni ludzie raczej czytali, znakomity film Bondarczuka również doskonale znany jest w Polsce. Oczywiście nie zaszkodzi obejrzeć kolejną wersję dzieła Tolstoj, ale... Serial angielski jest miejscami nudny, miejscami śmieszny i właściwie niewiele zostało w nim z wielkości tolstojowskiej epopei. Oglądamy po prostu, jak Anglicy wyobrażają sobie dziewiętnastowieczną Rosję. Nie wydaje mi się, żeby to był najlepszy nabytek naszej telewizji.

Znakomity jest natomiast historyczny serial produkcji francuskiej telewizji p.t. „Wielkie bitwy historii”. Zrealizowano go w sposób niezwykle atrakcyjny i nowoczesny, łącząc statyczne kadry dokumentalne (obrazy, mapy) z inscenizowanymi sekwencjami oraz z wypowiedziami historyków. Realizatorom udało się trafić w dziesiątkę. Filmy są wizualnie bardzo atrakcyjne, a jednocześnie jest to znakomita lekcja historii.

Z dziedziny „czystej” rozrywki mamy także od jakiegoś czasu uroczy i dowcipny serial amerykański „Między nami jaskiniowcami”. Humorek jest w nim — oczywiście — typowo amerykański i także problemy przedstawia. Ale sytuację znakomicie ratuje sam nieco zwirowany pomysł serialu: przeniesienie problemów i obyczajowości współczesnego Amerykanina w epokę kamienia łupanego.

Wbrew przewidywaniom natomiast pozorne pojęmy pomyślnie nowego „odczytywania” starych filmów przez aktorów współczesnych nie okazał się taki pojęmy. Program „Pół żartem, pół serio” staje się powoli dość nudzący. Mimo zmian aktorskiej ekipy, mimo atrakcyjnych gości honorowych (ostatnio Karolina Lubieńska), mimo piosenek — coraz mniej tu żartu, lekkości i po prostu dowcipnych rozwiązań.

W bloku programowym Publicystyki Kulturalnej „Tylko w niedzielę” od jakiegoś czasu z uporem godnym lepszej sprawy przypomina się to, co się nam nie podobało przed laty. Czyli dzieła wybrane Janusza Rzeszewskiego. Oczywiście te antologię można ciągnąć w nieskończoność, bowiem dorobek Janusza Rzeszewskiego jest obfity, ale nie jest to chyba zabieg sensowny. W międzyczasie bowiem oglądaliśmy w naszej telewizji taką masę oryginalnych i ciekawie zrobionych programów rozrywkowych, że programy, które nie podobały się przed laty, dziś nie podobają się jeszcze bardziej.

Bardzo natomiast podobają się publiczności melodramaty i obok kryminałów jest to żelazna pozycja wieczornego programu. Ostatnio oglądaliśmy amerykański „Sklep z modelkami”. Film ten wywołał parę moich refleksji wcale nie na tematy filmowe czy telewizyjne. Otóż nie wiem, czy widzowie zauważyli jak szybko bohater otrzymuje połączenie telefoniczne, dzwoniąc z Los Angeles do San Francisco (ponad 500 km)? Ale to drobiazg. Film zaczyna się i kończy interwencją agentów Towarzystwa Kredytowego, bowiem bohater nie zapłacił dwu rat za samochód. Nikt nie szuka żyrentów, nie „wchodzi” na pensję itp. Po prostu zabierają niezapłacony samochód. Bezwzględne to prawo, ale... Czytałem kiedyś notatkę, jakie ogromne zadłużenia mają ludzie w PKO i jak wysokie są koszty egzekucji należności od dłużników. I u nas przepisy w tym względzie są rygorystyczne, tyle, że dotyczą one głównie... żyrentów. Sprawca, czyli kredytobiorca, jest z reguły tą ostatnią osobą, która ponosi konsekwencje swojego zadłużenia.

Takie to refleksje snulim sobie przed kupionym na kredyt telewizorem, którego nikt nie ma prawa mi zabrać, nawet jeśli przestanę płacić kolejne raty. Nie wiem tylko czy to dobrze czy źle.

1.

Kategoria pokolenia literackiego w polskiej literaturze współczesnej jest niezmiennie modna. I nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie odejść miała do zaśnieżonego historycznoliterackiego lamusa, bo albo wita się nowe wstępujące pokolenia, albo świętuje rocznice pojawienia się poprzednich. Dodatkowo żywotności przyda jej z pewnością książka „Pokolenia literackie” Kazimierza Wyki, odnaleziona po jego śmierci zapowiadana przez Wydawnictwo Literackie. Z popularnością idzie jednak w parze kontrowersyjność. Nie chodzi już nawet o spory metodologiczne, oscylujące wokół pytania, czy literaturę należy badać wzdłuż czy w poprzek dziejów, ale o fakt, że pojęcie to nie jest instrumentem jednolitym — na jego treść składa się bowiem szereg elementów. Już pierwszy z nich, najważniejszy w biologicznym rytmie pokoleń: wiek, dostarcza w odniesieniu do sytuacji literackiej niemal kłopotów, nie ma bowiem zgodności wśród badaczy i krytyków, co ile lat przybywa naszej literaturze nowe pokolenie twórców. Rozbieżności są dość znaczne: od ustalania rytmu na lat dziesięć (co niekiedy bywa tylko przeniesieniem w nasze czasy mechanicznego podziału zastosowanego przez młodopolskiego historyka literatury Antoniego Potockiego) do lat... dwóch. W dziejach powojennej literatury polskiej utarło się przyjmowanie następujących formacji pokoleniowych: „Kolumbów”, „pryszczatych”, „Współczesności”, „Orientacji Hybrydy” i wreszcie pokolenia tzw. „nowej fali”.

Najbardziej rozreklamowane spośród nich jest bez wątpienia pokolenie „Współczesności”. Wiele się na to złożyło powodów: tych obiektywnych — dających się streścić w suchych określeniach: moment historyczny i zmiana sytuacji literackiej, i tych subiektywnych — które najlepiej określa tytuł debiutanckiego tomu Magdy Lejli „Umiejętność krzyku”. Mija rocznica umownego poniekąd startu pokolenia, liczonego od momentu pojawienia się pierwszego numeru czasopisma „Współczesność”, które w ciągu kilkunastu lat swego istnienia rzeczywiście odegrało rolę integracyjną i inspirującą. Dogodny to moment do kontynuacji reklamy (np. podwójny numer „Poezji” z lipca-sierpnia br), nieco mniej wygodny do spoglądania bez zbytniej jubileuszowej kurtuazji.

2.

Od chwili debiutu jaskrawo widoczny jest spór z innymi pokoleniami, systematycznie ponawiane próby określenia własnej świadomości w opozycji do innych (co dla pokolenia literackiego stanowi przecież wyróżnik najistotniejszy).

Pierwsze głosy były bardzo ogólne i deklaratywne. Ich charakter dobrze oddaje fragment programowej wypowiedzi z numeru drugiego „Współczesności”, zatytułowanej „Zamiast manifestu”: Zdamy sobie sprawę, że grup nie reprezentują manifesty układane przed rozpoczęciem pracy. Określić je może jedynie konkretna działalność literacka i publicystyczna (...). Jesteśmy grupą młodych pisarzy, których łączyła troska o dalszy rozwój naszej socjalistycznej kultury i wspólne poglądy na rolę sztuki w naszym społeczeństwie. Chcemy mieć możliwość pełnego wypowiedzenia się o interesujących nas sprawach. Chcemy, by nasza sztuka pomogła w budowie socjalizmu, odzwierciedlając wszystkie problemy polityczne i moralne nurtujące nasze społeczeństwo. Po ogólnikowych deklaracjach, w których roilo się od wielkich słów typu humanizm, honor, sumienie artystyczne pisarza, należało wskazać wartości bardziej sprecyzowane. Szukano ich w różnych obszarach literackich, tak odległych nawet od siebie jak przykładowo pisarze amerykańscy i futurystyczny polski. Poszukiwaniom tym w pierwszym okresie dziejów „Współczesności” towarzyszyły prowadzone na wszystkich frontach ataki non stop, kończące się nader często zwykłym skandalizowaniem. Adresaci nie pozostawali zresztą dłużni i tak przez pewien czas ulubionymi formami dyskusji stały się pamflety i pastisze. Złośliwe, acz zawierające dużą dozę prawdy, są świadectwa satyryków z tych lat. Na przykład w szopce sylwestrowej („Sztandar Młodych” 1958 nr 306) re-

dakcja „Współczesności” śpiewała nieśladym chórem na melodię „Siekiera, motyka”:

Siekiera, motyka, piastka, fłaszka
Taka mać, spokojna czaszka
Siekiera, motyka, zdrowy prąd
Czyli My! A inni wont!

W ścisłym związku ze wspomnianą tylko co sytuacją pozostawała książka „Zmiana warty” Jana Błońskiego, użnanego za ojca chrzestnego pokolenia. Spełniała bowiem dwie podstawowe funkcje: w pięć lat po pierwszych wystąpieniach sankcjonowała istnienie nowego pokolenia w literaturze polskiej, z drugiej zaś strony posiadała

czna użyteczność. „Nie nie jest tak obce temu pokoleniu — pisał dalej ówczesny redaktor naczelny „Współczesności” — jak niepotrzebne bohaterstwo, nieuzasadnione żądanie”. „Pokolenie to nieufne jest i od egzaltacji dalekie, raczej do ironii skłonne” — dodawał w następnym numerze Jan Zbigniew Słojewski. W dalszej fazie dyskusji kilku jej uczestników sformułowało jako warunek sine qua non postulat społecznego zaangażowania: „Nasz wybór pada na tę literaturę, która jest z nami, na jej formę, nie tylko uwzględnia rzeczywisty stan naszego świata, kraju, społeczeństwa, ale

ści, umieszczania bohatera w wygodnym azylu świata mitów, wśród których — zdaniem jego — dominowały: mit odrębności, mit nieszczęścia, mity erotyczne oraz mit lumpenproletariatu. Przedstawiona przez Grochowiaka wizja „romantycznego pozytywisty” wykluczała się z koncepcją bohatera prezentowanego przez większość powieści i opowiadań, zbyt ostrożnego w podejmowaniu określonych zadań społecznych, zbyt często uciekającego na margines. Antynomii tych było zresztą znacznie więcej. I tak na przykład istniała opozycja między grupą utworów, postulujących odpowiedzialność za sens życia i historii, za kierunek przemian społecznych i obyczajowych, a utworami głoszącymi bezsens istnienia, samotność, bierność i niechęć do społecznych poczynań. Podobnie przeciwstawiały się sobie propozycje przeciętności jako sposobu istnienia ze skrywanymi tęsknotami do bohaterstwa. Oczywiście nie sposób pominąć tu pytania, na ile antynomie powyższe są prawdziwe, na ile zaś pozorne, ale odpowiedź na problem ten będzie możliwa dopiero z większego dystansu czasowego, gdy proces dziejowy, stawiający wszystkim autorom taki sam układ pytań, stanie się przedmiotem badań historyków i historyków literatury.

Pierwsze, debiutanckie powieści i opowiadania, istotnie cechowała wspomniana już umiędłowienie krzyku. Była to umiędłowienie żywiołowego wyrzucania z siebie nawastrawiających się problemów, przekazywania autentycznych i wymaganowych doświadczeń w otoczone pesymizmu i żalu z powodu nieprzewidywanego wcześniej nawału trosk i kłopotów. — „Dlaczego szczęście nieśmiało tak daleko?” — pytał „Pijany o dwunastą w południe”. Uzupełniał go bohater zapomnianego już dziś opowiadania Grochowiaka „Gorda”, wypowiadając hasło typowe dla heroicznego okresu pokolenia „Współczesności”. „Najwstrętniejsza rzecz — egzystować. Trzeba podnieść przeciwko wszystkiemu bunt”.

Zapowiadając kompromitację romantycznego bohaterstwa, przeżywając (bądź tylko stylizując się na przeżyte) kryzys uznanych ideałów, pokolenie „Współczesności” — jak każda młoda generacja wstępująca w życie publiczne — tęskniło przecież w gruncie rzeczy i do bohaterstwa, i do oparcia w trwałych ideałach. Nie poradziło sobie jednak z tym dylematem, a najtrwalsza próba rozwiązania okazała się jednocześnie najbardziej przewrotna: wartości tradycyjnie niepodważalne, takie jak przyjaźń, wierność, autentyczna więź międzyludzka, dostrzegano przede wszystkim w świecie marginesu społecznego.

O niedojrzałości społecznej diagnozy młodej prozy końca lat pięćdziesiątych i początku lat sześćdziesiątych świadczyły wyraźnie tworzone na użytek chwili raczej opozycje między młodością i ideowością z jednej strony, a konformistycznym żądaniem spokoju i postulatami przeciętności jako stylu bycia w myśl dewizy „trzeba żyć”. Mówiąc obrazowo: Hamlet z okresu burzy i naporu przemieniał się w Matysłaka. Mówiąc jeszcze inaczej: proza pokolenia zbyt długo nie potrafiła uporać się z podstawowym problemem — sprawą postawy wobec życia i aktywnego w nim udziału. Do czego trzeba wszakże znaczne wyczucie moralne niektórych autorów, próby określenia współczesności poprzez tropienie problemów natury moralnej, i spojrzenie z tego punktu widzenia na wojnę i okupację.

Fakt, że również palac literatury zdobywa się powoli, zaczęli pisarze pokolenia „Współczesności” uświadamiać sobie coraz wyraźniej w dziesięciolecie startu, w czasie, gdy na łamach macierzystego pisma rozpętała się kolejna dyskusja pod jakże znamienitym, zaczerpniętym z artykułu Anny Bukowskiej, mottem: „Podzwonne pokoleniu”. Myślę tu przede wszystkim o dwu powieściach z 1966 roku: „Grupie Pięciu” Bernarda Sztajnera i „Zółwiach” Eugeniusza Kabatca. Ta ostatnia zwłaszcza, uznana przez krytykę za „ambitną w zamiśle i wykonaniu biografie wewnętrzną” pokolenia, jest jednym z bardziej wyrazistych objawów niepokoju. Ten właśnie — jakby zapomniany czy rozmyślnie przemilczany — Kabatcowy trop z pewnością zasługuje na baczniejszą uwagę w globalnej ocenie dorobku pokolenia.

4.

Lepiej wypada lekcja liryki. Może i dlatego, że w spory o nią wkładano więcej emocji, że przeciw utworom Mirona Białoszewskiego, Jerzego Harasimowicza, Stanisława Grochowi-

ka, Ernesta Brylla i wielu, wielu innych występowali tak znakomici adwersarze jak Antoni Słonimski czy Julian Przyboś.

O poetyckim rozmachu pokolenia w pierwszych latach po starcie świadczą mogą pewne zjawiska z zakresu socjologii literatury — mianowicie liczne ugrupowania: „Muszyna” w Krakowie, „Wierzbak” i „Swantewit” w Poznaniu, „Helikon” w Toruniu, „Dłaczego nie?” we Wrocławiu, „KLAP” (Klub Łódzkie Aktywistów Poezji) i „Prowincja 58” w Łodzi.

Można chyba ryzykować twierdzenie, że poezja pokolenia „Współczesności” była od samego początku bardziej dojrzała niż proza. Samą zaś świadomość pokoleniową manifestowano w wierszach oczywiście z reguły w sposób refleksyjny, ale nie w mniejszym nasileniu niż w publicystyce. „Czymże Jerzy nasze pokolenie?” — pytał od razu Bohdan Drozdowski. I odpowiadał mu w pierwszym numerze „Współczesności” Roman Sliwnik w wierszu „my którzy jesteśmy określoną częścią czasu”:

odnajdźmy swoje twarze
odnajdźmy radość rąk
zanim zacniemy budować
nowe stopnie lat.

Namiętnemu wadzeniu się o poezję towarzyszyło zupełnie otwarte postawienie sprawy: czy za najwyższą wartość uważać należy swobodną wyobraźnię artystyczną, czy polityczne zaangażowanie. Pierwszy etap dyskusji zamknął Kazimierz Wyka wskazując pokoleniu szansę w uprawianiu poezji ściśle związanej z rzeczywistością, ale tworzonej przez wyobraźnię „różnorodną, wielokierunkową i niepodległą”.

Spór rozgorzał na nowo, gdy buntowniczo i obrazoburczo postawa części pokolenia wyraziła się epizodem turpistycznym. Posiadał on otoczkę estetyczną, ale prócz rozważań nad możliwościami widzenia świata przez poetę, szło także o rolę poezji w życiu społeczeństwa.

W tym samym czasie co „Zółwie” ukazał się wiersz Grochowiaka „Bunt nie przemija, bunt się ustatecznia” i w symboliczny sposób potwierdził znaczenie liryki w biografii pokolenia. Formuła zaś „stacjonarne buntu” zapowiadała niedwuznacznie, że pokolenie weszło w okres działalności ustabilizowanej. Z zachłystnięciem wspólnotą, poprzez etap ugrupowań, przedstawiciele tego wkraczali coraz wyraźniej na indywidualne ścieżki.

5.

W dziejach każdego pokolenia w chwili startu wszyscy zdają się rokować podobne nadzieje i zbliżone mają szanse. Różnice kształtują się i pogłębiają w miarę upływu czasu. W latach dojrzałości, zbliżając się do jesieni życia, członkowie tej samej generacji oddalają się od siebie, wcześniejsze skłonności do przemawiania w pokoleniowym „my” zastępuje wyraźna preferencja dokońca indywidualnych. Nie inaczej ma się rzecz i z pokoleniem „Współczesności”. Wewnętrzne różnice pogłębiły się, część liderów z okresu burzy i naporu umocniła swe pozycje, o innych raczej głucho. Właśny rachunek okazuje się w końcu najważniejszy. I jest w tym jakaś prawidłowa historia literatury. Ale pokolenie jest czymś, czego naprawdę pożegnać nie można. W przekonaniu tym utwierdzają dosyć systematycznie nawroty pokoleniowych refleksji. W niektórych dominują nawet nutki żalu z takiego obrotu spraw. Jak w jednym z ostatnich wierszy Brylla:

Może kiedyś byliśmy śmieszni,
rozkrzyczani
Jak Duchem Bożym — nową
nadzieją pijani
Może potrafililiśmy góry przenosić
oddechem
Chmury, mury rozwałać piosenką
i śmiechem
Może naiwność nasza jako powódź
grzmiała
Równała wszystko od końca do końca
Ale się rozplynęły legendy i pieśni
i każdy siedzi trzeźwo — Aż mu
w zębach trzeszczy

Pokolenie „Współczesności” wkroczyło z wolna w wiek męski. Ale nie wylewa z tego powodu „lecz czystych, rześkich”, choć wskutek przedwczesnej śmierci dorobek wielu doń należących pisarzy stał się udziałem historii literatury. Znajduje się w pełni możliwości twórczych. I wiedzą już jego członkowie, że „paulatin summa petuntur”. Powoli osiąga się szczyty. Nawet jeśli jakość dokońca indywidualnych pomnożona zostanie przez grono rówieśników podążających w tym samym, czy tylko podobnym, kierunku.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

również cechy pamfletu — przenikliwy krytyk szybko spostrzegł mitologiczne skłonności.

W sposób bezpośredni świadomość pokoleniowa manifestowała się w dyskusjach i polemikach. Dyskusje owe, toczone w przeważającej mierze na łamach „Współczesności”, rozmaitym podlegały nasileniom, a i krąg poruszonych spraw był bardzo zróżnicowany. Tym niemniej oscylowały one niemal bez wyjątku wokół prób określenia ideowego i artystycznego oblicza pokolenia i prezentowały niewyczerpane wręcz w swej krawędowości możliwości ujęć: od zadufanej wiary w zbawiającą dla literatury polskiej misję po ostrą negację wspólnoty i odrębności. Jednakowoż był w dziejach pokoleniowych dyskusji czas zdecydowanego formułowania programu pozytywnego tuż po zakończeniu okresu burzy i naporu. Za jego początek można uznać głośny swego czasu artykuł Stanisława Grochowiaka z początku 1959 roku pt.: „Karabela zostanie na strychu”. Aby nie było wątpliwości, że chodziło o gromadne wypracowanie pokoleniowego „my”, redakcja oznaczała wszystkie wypowiedzi dopiskiem „My młodzi”. Nawigując w pewnym sensie do szkoły pozytywistycznej pokolenie zamierzało skompromitować „prapolską ideę kawalerskiej szarży”, opowiadało się w życiu i w literaturze za bohaterem, którego podstawową cechą wyróżniającą miała być „wyraźna i niedwuznac-

również na ambicje wskazywania na to, co jest w naszym życiu najistotniejsze i najbardziej wartościowe. Taką literaturę można nazwać humanistyczną, można ją nazwać socjalistyczną, można jej w ogóle nie nazwać”. Innymi słowy: chodziło również o to, by uporczywie trzymanie się kategorii bio-socjologicznych nie spowodowało eliminacji czy odsunięcia tylko na plan dalszy klasowych i politycznych uwarunkowań literatury.

W rzeczonym momencie, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, czołowi publicyści i pisarze pokolenia najbliżsi chyba byli wypracowania spójnego i obowiązującego większości programu. Dziś, po latach, można już stwierdzić, że pokolenie „Współczesności” nie zdołało takiego programu stworzyć, ani nawet w sposób istotny uzupełnić przedstawionej tu próby. Decydowało o tym na pewno wiele czynników, nade wszystko zaś fakt, że prezentowana w dyskusjach i polemikach świadomość pokoleniowa zbyt była zróżnicowana i niejednolita.

3.

Jeszcze większe różnice ujawniły się w dorobku artystycznym. Zaczniemy od prozy, bo nią głównie egzemplifikował Błoński swe oceny, które okazały się tak żywotne w świadomości krytycznej. Przypomnijmy, że znany krytyk krakowski uznał, iż twórczość literacka pokolenia „Współczesności” nie pokrywa się generalnie z wyrażanymi w dyskusjach deklaracjami. Najcięższy zarzut stanowiła formuła oderwania pisarstwa od rzeczywisto-

MIROSLAW KUŹNIAK

nr. 223



Fot. A. Kuciński

W najbliższych dniach radiosłuchacze wysłuchają 223 audycji „WESOŁEGO AUTOBUSU”, ale w rzeczywistości występów było o wiele więcej. Ile? Tego nie wie nawet sam kierownik zespołu, Józef Mozga. Po prostu nie wszystkie występy mogły być emitowane na radiowej antenie. Nie wiem, czy starczyłoby na to wszystkich czterech radiowych programów.

PRZED KONCERTEM

— Panie Włodzimierzu, dzwonił Adam Duliński z Opery. Prawdopodobnie spóźni się na koncert.

— Panie Włodzimierzu, Andrzej Łagwa i Janina Borońska przyjadą na koncert z opóźnieniem.

Włodzimierz Krzemiński redaktor „Wesołego Autobusu”, urzęduje w redakcji już na dwie godziny przed wyjazdem zespołu. Ma niewesołą minę. Znowu rozbrzmiał się na biurku telefon. Czyżby nowa „nawalanka”? Nie. Na linii Zamość. Aż stamtąd otrzymuje „Wesoly Autobus” zaproszenie na koncert. Termin odległy: luty 1977 r.

Zaproszenie jest serdeczne: — przyjeżdżcie, zobaczcie jak was podejmemy! Ale redaktor Krzemiński kiwa przecząco głową. Zamość chce zorganizować koncert w którąś sobotę lute-

go. Nie da rady. W soboty, aktorzy występujący w „Wesolyim Autobusie”, mają normalne zajęcia w teatrach. Zespół wyjeżdża na koncerty jedynie w niedziele i poniedziałki, kiedy to aktorom łatwiej wyrwać się z macierzystych placówek.

— „Wesoly Autobus” — mówi Józef Mozga, kierownik redakcji i zespołu — ma w zasadzie stały zespół aktorski. To ułatwia wiele spraw organizacyjnych, a poza tym — stara to prawda, nie każdy aktor sprawdza się na estradzie. Oczywiście, przez 18 lat istnienia „Wesołego Autobusu” zespół zmieniał się wielokrotnie. Można powiedzieć, że w naszych programach brała udział większość znanych łódzkich aktorów. Nie sposób wymienić wszystkich. Przez wiele lat występowali w naszych programach Bogdan Baer, Emil Karewicz, Gustaw Lutkiewicz, Krystyna Majda, Włodzimierz Skoczylas, Janusz Kłosiński. Wraz z nimi przeżyliśmy dużo chwil pięknych, wzruszających, niekiedy dramatycznych. Na przykład, do dziś pamiętam przygodę związaną z Emilem Karewiczem. Wróciliśmy wtedy z koncertu w Sławnie. W połowie drogi, tuż przed Bydgoszczą, nasz „robur” stanął. Kierowca mówi, że zagrał się silnik i trzeba odczekać godzinę, nim nasz pocelwy wehikuł ruszy. Karewicz łapie się za głowę. Okazuje się, że ma wieczorem występ w teatrze. Na dodatek gra w tym spektaklu główną rolę. Godzinna zwłoka to dla niego pewne spóźnienie, zerwanie spektaklu, no i oczywiście masa kłopotów. Postanowiliśmy więc złapać w Bydgoszczy taksówkę. Ale w Bydgoszczy jak na złość postoje puste. Zawiózł nas więc ten dychawiczny „robur” do Torunia. Tam w taxi i do Łodzi. Zdążyliśmy na siedem minut przed rozpoczęciem spektaklu. Już ktoś z dykcji teatru zaczął przeproszać publiczność za odwołane przedstawienie z powodu zagnięcia aktora. No, ale wszystko zakończyło się szczęśliwie. W pięć minut Karewicz przebrał się, uchałkteryzował i spektakl rozpoczęło.

Włodzimierz Krzemiński mówi, że przed każdym koncertem trwa istna wojna nerwów. Prawie do końca nie wiadomo, czy aktorom nie wypadną w teatrach dodatkowe próby, nieprzewidziane zajęcia. Taki los organizatorów imprez estradowych. Podobnie jest i przed tym występem. Za 15 minut wyjazd, a jeszcze kapela prosi o krótką próbę. Dźwigając więc instrumenty schodzą muzyki do radiowego studia stereofonicznego. Tu panuje idealna cisza, miejsca jest dużo, a dźwiękoszczelne ściany izolują od rozgłoszonego szmeru. Czesław Przybyła jeszcze raz powtarza „Tango Chach-meto”:

„Tango! Tango! Chach-meto!
Z niezrozumiałych stworzone słów!
Jeśli to tango zabawi cię, to
Włącz telewizor i słuchaj znów:
Wachlarz zasadnień aerobinimum,
Już maksymalnie rochyła się,
Aktywizacja modernizacji
Tutaj zwykuję, a tutaj nie...”

Jeszcze siostry Dubrowin, duet „Wesołego Autobusu”, przepiewuje nową piosenkę, a już Włodzimierz Krzemiński zagania wszystkich wykonawców do autobusu. Czas jechać. W Cetechu,

czyli w Łódzkich Zakładach Cewek Przedzalnichy koncert ma zacząć się o trzynastej.

KIEROWNIK JEST JAK KARTOFEL...

— Trzeba Cetechowi wymyślić jakieś nowe hasło — mówi Władysław Wojda, konferansjer „Wesołego Autobusu”, uroczy gawędziarz syjący jak z rękawa dykterykami. Wojda mieszka na stałe w Łowiczu, w „cywilu” jest urzędnikiem wydziału finansowego tamtejszego urzędu miasta. Do zespołu trafił nieprzypadkowo. Poprzedziła go sława miejscowego gawędziarza, świetnie mówiącego gwara łowicką.

Michał Szewczyk powtarza po cichu tekst monologu. Trzeba jeszcze raz sprawdzić, czy któraś z kwestii nie wyleciała z pamięci.

— Będziesz mówił „sprawozdawcę”? — pyta Włodzimierz Krzemiński.

— Którego? No tego, który zaczyna się od słów: kierownik jest jak kartofel. Można go wsadzić. Można go wykopać.

Na rondzie Gagarina autobus przystaje na chwilę. Wsiada Irena Harsin, solistka łódzkiej Operetki. Zmarzła. Za wcześniej wyszła z domu i przez czterdzieści minut stała na tej mżawce, co od rana siąpi niestrudzenie. Czesław Przybyła ma zbolalą minę.

— Nie wiem, jak ja dzisiaj wystąpię. Jestem chory.

Cale szczęście, że CETECH dysponuje stosunkowo dużą salą. Będzie można wytrzymać. Najważniejsze, żeby nie kapalo na głowę. To nie przesada. Zespół „Wesołego Autobusu” najczęściej występuje na otwartych estradach. Czasem podczas deszczu, śniegu.

Już przed bramą CETECHU dołącza do zespołu Ludmiła Warzecha z Operetki Łódzkiej. Nadal jednak nie widać Borońskiej, Łagwy i Dulińskiego. Na szczęście organizatorzy zakładowej imprezy przedłużili część oficjalną. Zespół czeka w autobusie.

MIKROFONY

— Jak się moga, kochane miedle ludzie w Łodzi-mieście — mówi Władysław Wojda i tak zaczyna się Koncert „Wesołego Autobusu” dla załogi CETECHU, obchodzącego w tym dniu swój srebrny jubileusz. Na sali 100. Seana nie największa, a jeszcze technicy Polskiego Radia rozstawili na niej siedem mikrofonów. Ośmi mikrofon stół na podłodze, skierowany na salę będzie „wylapywał” reakcje publiczności.

„Kobyłka czapie, aha!
Ctery miedle za piec, aha!
Koniki u zlobu,
W kacie został bat.
Wesoly autobus rusza drogą w świat...”

Sygnałową piosenkę śpiewają wszyscy wykonawcy. Na czas zdążyli i Janina Borońska z Teatru Nowego i Andrzej Łagwa z Powszechnego. Nawet widzowie na sali podśpiewują

nieśmiało, bo — co tu ukrywać — ta piosenka przez 18 lat stała się popularna wśród radiosłuchaczy.

Kapela, czterech plectystych muzyków, którzy przed chwilą w garderobie zmienili swoje cywilne garnitury na łowickie pasiaki, gra „szybistego”. I tak „idzie” numer za numerem. Największy jednak apluz u publiczności zdobywają te, które bezpośrednio dotyczą zakładowych spraw.

„...Nie wchodź do biurowca, poczekaj na dworze bo tam nikt już więcej zmieścić się nie może.
Poczekajmy razem, może wejdzim obaj Gdy się wyprowadzi spółdzielnia ludowa.

„...Mamy też autokar na socjalne cele, żeby nim na grzyby wyjechać w niedziele.
A kto nim wyjeżdża, ma emocji sporo: może wracać pieszo wieczorową porą...”

— Przed każdym koncertem — mówi Włodzimierz Krzemiński — staraliśmy się zebrać jak najwięcej informacji o zakładzie, który nas zaprasza. Szukamy, jednym słowem, tworzymy dla każdego programu. Wyjeżdżamy więc do fabryki na rekonesanse. Rozmawiamy z pracownikami. Co nas interesuje? Przede wszystkim wszystkie zakładowe kłopoty, bolączki, problemy, ale też pilnie notujemy, gdy ktoś mówi o śmiesznościach zakładowego życia. Najpierw, kiedy chodzimy po zakładzie, ludzie patrzą na nas z nieufnością. A już od prawie każdego dyrektora słyszymy, że w ich fabryce jest wszystko w porządku, problemów nie ma, kłopotów nie ma, a już śmiejących drobiazgów to po prostu ze świecą szukać. No, ale zawsze udaje się nam coś tam wypatrzyć, a potem zamknąć w skeczu, monologu, żartobliwej piosence. W CETECHU było podobnie.

„...Czasem by chciało się inaczej przeżyć to swoje życie krótkie.
Na przykład nie łić dziś do pracy, poleżeć w łóżku przed południem...”

FINAL

— Wszyscy wychodzimy na final — scenicznym szepem zwołuje aktorów Włodzimierz Krzemiński. Janina Borońska, Ludmiła Warzecha, siostry Dubrowin, Adam Duliński, Czesław Przybyła, Michał Szewczyk i kapela śpiewają finałową piosenkę („Kobyłka czapie, aha!”). Ledwie przebrzmiała ostatnia nuta, a już dyrektor CETECHU w towarzysztwie urodziny strażaczek (tak, tak w tej fabryce jest kłobeca straż pożarna, co stało się tematem jednej z gawęd Władysława Wojdy) wnoszą na scenę kosz kwiatów.

— Pięknie dziękujemy zespołowi „Wesołego Autobusu” za koncert — mówi dyrektor — Jest nam szczególnie miło gościć dziś w dniu naszego srebrnego jubileuszu, właśnie ten zespół, bo jak dobrze pamiętamy, on przed ćwierćwieczem uświetnił otwarcie naszego zakładu.

No cóż, pomylił się nieco sympatyczny dyrektor Łódzkich Zakładów Cewek Przedzalnichy. „Wesoly Autobus” nie mógł występować przed 25 laty, bo istnieć „ledwie” 18 lat.

— Już dziś — kończy dyrektor — zapraszamy „Wesoly Autobus” na złoty jubileusz naszej fabryki.
Zaproszenie zostało przyjęte.

TEATR

ANDRZEJ W. MIKOŁAJEWSKI

PREMIERA W KIELCACH

W Kielcach 6 listopada 1976 roku odbyła się premiera sztuki Karola Obidniaka i Józefa Wędrchowskiego „Goście Hotelu du Parc”, której tematem jest życie uczniów polskiego liceum w alpejskim miasteczku Villard de Lans. Liceum to — imienia Cypriana Norwida, kontynuowało studium tradycji polskiego gimnazjum w Paryżu, a jego uczniowie oddawali życie za przybraną ojczyznę w wojnie francusko-pruskiej, w Komunie Paryskiej, podczas II wojny światowej, i wreszcie walczyli w szeregach żołnierskich i partyzanckich w latach II wojny światowej.

Autorzy tej sztuki, Karol Obidniak i Józef Wędrchowski, to także uczniowie tego liceum, którzy jak prawie wszyscy stamtąd życie mieli niewygodnie. Nie czuje się upoważniony do opisywania ich życiorysów. Zresztą o uczniach polskiego liceum we Francji pisał w jednym z tegorocznych numerów „Literatury” Karol Obidniak (35/237) — bezpośrednio po powrocie z Villard de Lans, gdzie także w tym roku odbył się zjazd villardczyków.

Kiedy zjawiłem się w Kielcach, od razu poszedłem do teatru. Chciałem bowiem jak najprędzej poznać odpowiedź na nurtujące mnie podczas trzygodzinnej jazdy autobusem pytanie, dlaczego sztuka „Goście Hotelu du Parc” znalazła się w repertuarze kiel-

leckiej sceny dramatycznej? A miałem przy tym nieomylnie, jak to się w końcu okazało, przeczuć, że nie jest to żaden przypadek. Otóż stało się tak dlatego, że dyrektor i kierownik artystyczny Państwowego Teatru imienia Stefana Żeromskiego w Kielcach — Henryk Giżycki, kontynuując po trosze zbieżne programowo tradycję sceny kieleckiej z Teatrem Ludowym w Nowej Hucie, skąd sam się wywodzi, liczy się bardzo z gustami i zapotrzebowaniem odbiorcy na teatr patriotyczny. A sztuka, o której mowa, oprócz tego, że z powodzeniem mieści się w repertuarze teatru patriotycznego, jest na dodatek komedią, przy czym śmiejąc się, odbieramy ją także na bardzo poważnie, tak, jak wymagają tego niektóre jej w pełni dramatyczne momenty. Trzeba poza tym pamiętać, że to właśnie dzięki swym założeniom programowym Państwowy Teatr w Kielcach egzystuje ze stałe rosnącym powodzeniem. Dyrektor Giżycki znalazł sposób na utrzymanie tradycji sceny kieleckiej. Poszukiwał dla niej repertuaru współczesnego, takich więc sztuk jak „Goście Hotelu du Parc”, „Pojedynek” Mar Bajdźliewa, „Matki — madonny nasze” Krystyny Rutkowskiej, czy wreszcie „Och, jaki piękny jest świat” Tadeusza Wleżana...

Do zasług dyrektora Giżyckiego zaliczyć można i to, że bardzo odmio-

dził zespół aktorski. I rzeczywiście, wykonawcami głównych ról w „Gościach Hotelu du Parc” są młodzi aktorzy: Mieczysław Gajda — Bunio, Jacek Strama — Józek, Janusz Kapliński — Leszek, Maria Robaszkiewicz — Elżbieta, Jadwiga Jarmul — Baśka. Młodość wypadła najstarszy z grupy uczniów Lucjan Wiernek — Witek. I powiem od razu, że z ich strony otrzymujemy dobre, z wyczuciem odtworzone i oczywiście stworzone postaci. A zadania nie mieli najmniejszej łatwego.

Mam bowiem wrażenie, że sztuka K. Obidniaka i J. Wędrchowskiego ma to do siebie, że rządzi jej współtwórcami, a więc zespołem aktorskim, reżyserem i scenografem, wymagając od nich wszystkich wierności, wobec siebie i wobec tekstu dramatycznego, jakim jest u swych podstaw. A sprawił to bez wątpienia serdeczny stosunek autorów do swych bohaterów — ich kolegów i nauczycieli, którzy udzielili się nawet publiczności. A poza tym, kiedy się spojrzy na „Gości Hotelu du Parc” wyłącznie z pozycji krytyka utworu dramatycznego, wrażenie pozostaje jedno: że jest to dobra, wesola i zarazem wzruszająca komedia opowiadająca o młodych ludziach, którzy nawet w latach dla młodości najtrudniejszych, zachowali świeżość uczuć, nie zapominając o obowiązku walki

— „Za Waszą i Naszą Wolność”. Nie więc dziwnego, że publiczność tego premierowego spektaklu bawiła się naprawdę świetnie i z właściwą powagą przyjmowała jego dramatyczne momenty. I, jak mi się zdaje, podobnie jak ja przeżyła jego swoistą lirykę.

Szkoda więc, że wieść o sztuce „Goście Hotelu du Parc” przywoła do Łodzi z Kielce, bo mogłaby się przecież znaleźć w repertuarze któregoś z łódzkich teatrów — może nawet jako spektakl przygotowany specjalnie dla młodzieży, ale przecież nie tylko. A proszę mi wierzyć, że warto jest poznać villardczyków. Mając przeto nadzieję, że i państwo będziecie mieli tę okazję, nie streszczę akcji tej sztuki. Zacytuję natomiast Karola Obidniaka prezentując fragmenty z jego repertuaru we wspomnianym już numerze „Literatury”:

„(...) Jak przyjmą nas mieszkańcy Villardu? Kto z nich pamięta o tym, że na stokach Vercors młodzi Polacy i Francuzi na przekór klęskom, toczyli między sobą zawzięte boje o Grand Prix de Megeve, Grand Prix des Alpes, a akademickie tytuły mistrzów Francji w slalomach, skokach, zjazdach. Cate to życie wojenne, tętniące buntem i humorem, porywające młodzieńcą, wiarą w zwycięstwo. Kto z nich pamięta o tych, którzy polegli w walce z faszyzmem, nie ukończywszy nawet 20 lat. Kto to pamięta! Gdyby się to udało, o ileż piękniejsza byłaby rzeczywistość, ile przydałoby jej sensu”.

I dalej: Chór najpierw zaśpiewał „Jeszcze Polska nie zginęła”. Potem — „Marsyllankę”. Stojący obok mnie Francuzi podobnie jak studentki z

Gdańska już nie wycierali ukradkiem łez. Wzruszająca uroczystość potwierdziła przyjaźń, która dziś jest równie szczera i żywa, jak w latach ciężkiej próby. Od 27 czerwca główna ulica Villard de Lans nosi imię „Polskiego Gimnazjum i Liceum im. Cypriana Kamila Norwida”.

Na zakończenie pragnę dodać, że prapremiera sztuki Karola Obidniaka i Józefa Wędrchowskiego „Goście Hotelu du Parc” miała miejsce w Państwowym Teatrze Ludowym w Nowej Hucie w roku 1975 — odciekawszy, aż dziś bierze, na ten moment dwadzieścia lat. A jej premierę w Kielcach — w Teatrze imienia Stefana Żeromskiego obejrzałem w reżyserii Matyldy Krygier (współpraca reżyserka Janusz Rafal Nowicki), scenografii Zofii Rodakowskiej-Smidt i z muzyką Józefa Rychlika.

A oto pozostali jej wykonawcy: Władysław Sokalski — Bozower (wspinał się na kłosa profesora zagraną z dużym doświadczeniem aktorskim), Włodzimierz Twardowski — Nitkowski (jeszcze jedna dobra rola aktorska młodego absolwenta PWSFTvT w Łodzi), Bogdan Budziński — Godlewski (taki po prostu dyrektor szkoły), Stanisław Sieniński — Labeź (szczerzy i zdecydowany duch umiaru i przyzwoitości), Hanna Zielińska — Maciejowa (sympatyczna jak Baba Jaga w teatrze lalkowym), oraz Jan Paranduk i Lech Suliński.

Gratulując Teatrowi w Kielcach udanej premiery, raz jeszcze wyrażam nadzieję, że zdarzy się okazja zobaczenia jej także w Łodzi. Może nawet jeszcze za mego życia.

GONITWA za SZANSA

Kiedy druga książka trzydziestoletniego prozaka ukazuje się obok Kuśniewicza, Brauna czy Białoszewskiego w elitarniej serii polskiej prozy współczesnej — wystarczająco to dowód literackiej nobilitacji. Opowiadania Jerzego Żurka w pełni na takie wyróżnienie zasłużyły, jest to bowiem proza dojrzała, choć jeszcze młodzieńcza, wnikliwa, ale i efektowna.

W otwierającym tom opowiadaniu przedstawiona została rozmowa telewizyjna, podczas której ktoś znaczny wypowiada się z uznaniem o młodzieży, wyrażając przy tym aplauz swego młodzieńczego pióra. Jako że zdaniem jego młodzi adeptów pióra nie chcą być sercem narodu, jego pisać książki o „spółkowaniu i o różnych tam z obca nazywanych alienacjach i frustracjach. A przecież miłość to nie pocieranie naskórków, człowiek żyje także pośród innych ludzi, w społeczeństwie, i tylko jako takiego można go literacko analizować”.

Książka Żurka wychodzi jakby na przeciw temu oficjalnie zgłaszanemu zapotrzebowaniu. Ścisłej zaś biorąc prawie nie wykracza poza społeczność studencką, bądź też początkujących naukowców. Bohaterem opowiadań jest z reguły pełen emocji młody człowiek, nienawidzący konwencji i zafascynowany. Ten na wskroś współczesny bohater, żyjący w społeczeństwie, które odbudowało zamki, wduje statki przed terminem i posiada samochód dla milionów, jest wyraźnie romantycznej proveniencji. Intelktualnemu jego wzmocnieniu służy ma przygotowywana właśnie praca magisterska o twórczości Byrona. Ale konfrontowana z realiami małego realizmu postać określa nazwiskiem lorda-pocety wywoływać musi efekty groteskowe i demaskujące. Przypomina ustawicznie o dysproporcjach między konwencjonalnym z konieczności obrazem literackim, a prawdziwymi przejawami życia. W takich momentach bohater opowiadań Żurka pociesza się historią znaną z twórczości Puszkina: subtelny, egzaltowany wiersz erotyczny i w liście do przyjaciela jego wykładnia — „Dziś z Bożą pomocą zerżnąłem Annę Michajłownę”.

Buntującego się studenta społeczeństwo wciąga w swoje konwencje. Nieublagana maska kultury pokryje i jego twarz, wkrótce otrzyma przeznaczoną dlań gębę i zostanie upupiony. Wyświechtane dziny zamieni na elegancki garnitur. Ożeni się i zacznie robić pieniądze. Albo utyskiwać na ich brak. Ale póki co, może — trapiiony romantyczną alienacją — kpić z tłumu zebranego przed wystawą „Polskich Fiatów”, że tłum ten nie stoi, a kłęczy. Może pozwałać sobie na luźne związki z kobietami, mierzone częstotliwością spojrzeń na zegarek w trakcie i post coitum, by zdążyć przed nadejściem gospodyni czy właściciela wypożyczonego mieszkania. Aż pojawi się refleksja: „trzydziestka na warku, a co przed tobą?” W obronie przed naporem kulturowych konwencji ulegający modnym subkulturom, zagubiony trochę w szybkim rytmie współczesności i borykający się z materialnymi niedostatkami chłopca z akademika, usiłuje buntowi swemu nadać pewien kierunek, nie chce być bezproduktywny, chce autentycznie, a nie konwencjonalnie włączyć się w to wszystko, co go otacza. Pragnie być dynamiczny i w biegu doścignąć swoją szansę. To za nią trwa ustawiczna gonitwa.

Zrodzona z atmosfery pisarstwa Gombrowicza książka Żurka stanowi interesującą próbę ukazania przeżyczeń konwencji i formy w realiach naszego społeczeństwa w czterdziestu bez mała lat po ukazaniu się „Ferdynurka”.

T.B.

J. Żurek, Pościg, PIW, Warszawa 1976, nakład 10 000+290 egz., cena zł 25.-

Dalszy ciąg ze str. 1

Pada deszcz. Wszędzie wilgotne zwaly piasku, breja rozkiszłej gliny; pod burym niebem zwieszono smętnie lby stalowych żuraw. Gdzie nie ruszysz — znak ślepej, zamkniętej ulicy. Bełchatów rozkopany, trudno wydostać się z miasta. A pierwszy sekretarz KM mówił, żeby jechać drogą na Grocholicie. Potem most na Widawce, w lewo i prosto do Biłgoraju.

Próbujemy szczęścia koło Stacji Pogotowia. Chłop w maciejówce zastanawia się, wyciąga laskę i wskazując kierunek mówi, że tam się chyba przecięnie. Nie da rady, metr chodnika, trzeba zawracać. Przejeżdżamy obok „Hydrocentrum 2” i ułożoną wśród pól drogą z płyt betonowych dostajemy się do asfaltu. Coraz więcej takich dróg z płyt. Asfaltu nie przeniesie, płyty, kiedy droga niepotrzebna, można wykorzystać.

Za Grocholicami ostry wiraż. Jadąca przed nami ciężarówka wyladowana na kilkumetrowymi rurami, zarzuca: jedna z rur śmiga w powietrzu i pada do rowu. Byliśmy dosyć daleko, dzięki temu nie padłem ofiarą wielkiej budowy.

To się nazywa „Elektrownia Bełchatów w budowie”. Popularnie i krócej — „Rogowiec”. Jednakże elektrownia powstaje na terenach Biłgoraju; w pobliskim Rogowcu buduje się zaplecze dla kopalni.

Tuż za Widawką, na otoczonej lasem polanie, kolorowe domki, chata podhalańska, taka jak u górników na Wawrzyszewie, w której mieści się sklep.

Czekam w sekretariacie, jest ważna rozmowa telefoniczna z Warszawą. Po chwili dyrektor — Tadeusz Kołcz — częstuje mnie kawą i robi wstępne wprowadzenie. To znaczy wprowadza mnie do sali konferencyjnej, między rzędy krytych zielonym sukrem stolików; na krańcu szczególny plan przyszłej elektrowni i zminiaturyzowaną, wierną kopię głównej hali z turbozespołami. Patrząc okiem laika na skomplikowane urządzenia, system suwnic, rejestrując ilość pnapych się w górę schodów, stwierdzam nieśmiało, że będzie to chyba kolos.

Dyrektor Kołcz śmieje się pobłażliwie z mojego odkrycia.

Tak — mówi — to potężny budynek. Czterdzieści metrów wysokości. Jego długość wyniesie osiemset metrów.

I zaraz potem, żeby mnie i Czytelnika przytoczyć ogromem, dodaje, że wzniesione polskie jednociegiowe kotły wieżowe, a zbuduje się ich sześć, będą miały sto dwadzieścia metrów wysokości.

Na wprost hali głównej występuje z płaskiego krajobrazu prawdziwe monstrum: dwa sześciokątowe kominy o niespotykanej dotąd wysokości trzydziestu metrów. Gdyby wleźć na szczyt, myślę, i spojrzeć przez jaką lunetę, można by spod Bełchatowa dojrzeć wleż Pałacu Kultury w Warszawie.

Osiągnięcie polskiej myśli technicznej: turbozespoły i kotły wyprodukowane własnymi siłami w kraju.

Elektrownia „Rogowiec” w liczbach podczas eksploatacji:

a. dwanaście bloków po trzysta sześćdziesiąt megawatów każdy;
b. moc docelowa — cztery tysiące trzydzieści megawatów;
c. produkcja roczna — dwadzieścia osiem miliardów kilowatów;
d. roczny przepał — trzydzieści trzy miliony ton węgla brunatnego.

W czwartym kwartale 1980 roku ruszy pierwszy blok, co pięć miesięcy następny; zakończenie budowy nastąpi w 1985 roku.

Kto to wszystko zbuduje?

Trudno sporządzać długą listę podwykonawców. Ale można śmiało powiedzieć, że elektrownię buduje cała Polska: dostawcy, kooperanci, biura projektowe (po przewoźnym „Energo-projektu” z Warszawy), instytuty naukowo-badawcze.

Generalnym wykonawcą jest bełchatowski „Energoblok”.

Aktualnie na placu budowy znajduje się sześć tysięcy ludzi. Elektrownię w ruchu obsługiwać będzie trzy i pół tysiąca pracowników. W nowo-

czesnej, wielkiej elektrowni ilość zatrudnionych maleje. Nowoczesność mierzy się urządzeniami, które z kolei wymagają odpowiedniego poziomu wykształcenia. Dlatego już teraz elektrownia prowadzi jedną w Łodzi i dwie klasy szkoły zawodowej w Bełchatowie. Ale uczniom nie wystarczy dyplom. Muszą mieć jeszcze zapewnioną praktykę.

Dyrektor Tadeusz Kołcz mówi o tej budowie z entuzjazmem. Dwadzieścia lat pracy w energetyce. Z rozrzeniem wspomina postudenci staż na budowie małej elektrowni portowej w Szczecinie. Potem budował Pątnów.

— To jest największa. Po 1985 roku „Rogowiec” będzie dawał pięćdziesiąt procent przyrostu energii dla kraju.

elektrownia „wyjdzie” z ziemi, wiele się dzieje: makroinwelacja, karczowanie, odwadnianie, budowa dróg dojazdowych. Przekształcanie dziewiczego terenu w krajobraz przemysłowy.

— Te prace — mówi Kurpiel — to źródło przyszłego sukcesu.

Zaplecze generalnego wykonawcy. Stopy słupów i rur betonowych, stalowe konstrukcje magazynów. W bieżącym roku na zaplecze pójdzie sześćset milionów.

Zaplecze elektrowni.

— Ciężki sprzęt to także źródło sukcesu w tym okresie.

Wjeżdżamy na teren elektrowni. Ogromne żółte pole, idealnie płaskie, zamknięte ścianami lasu. Główne zadanie bieżącego roku to roboty przed-

nia. Wyżewy siarkowe są nieuniknione, ale nie możemy dopuścić do stężeń szkodliwych. Osuszając bagno Biały Ług wypędziliśmy mnóstwo dziękiego ptactwa. Musimy myśleć o ludziach. Wody mało, a elektrownia pochłania jej dwa metry sześciennie na sekundę. Dlatego też wykorzystamy zrzucaną do Widawki wodę z odwodnienia kopalni i zbudujemy zbiornik retencyjny o powierzchni stu hektarów, gdzie będzie zawsze zapas wody na trzy doby dla elektrowni. Ten zbiornik wykorzystamy również dla celów rekreacyjnych. Damy pracownikom działki, odpadów budowlanych sporo, niech więc się budują. Woda z kopalni zimna, dziesięć stopni, nie każda ryba się uchwala, ale można spróbować hodować pstrąga...

palowanie

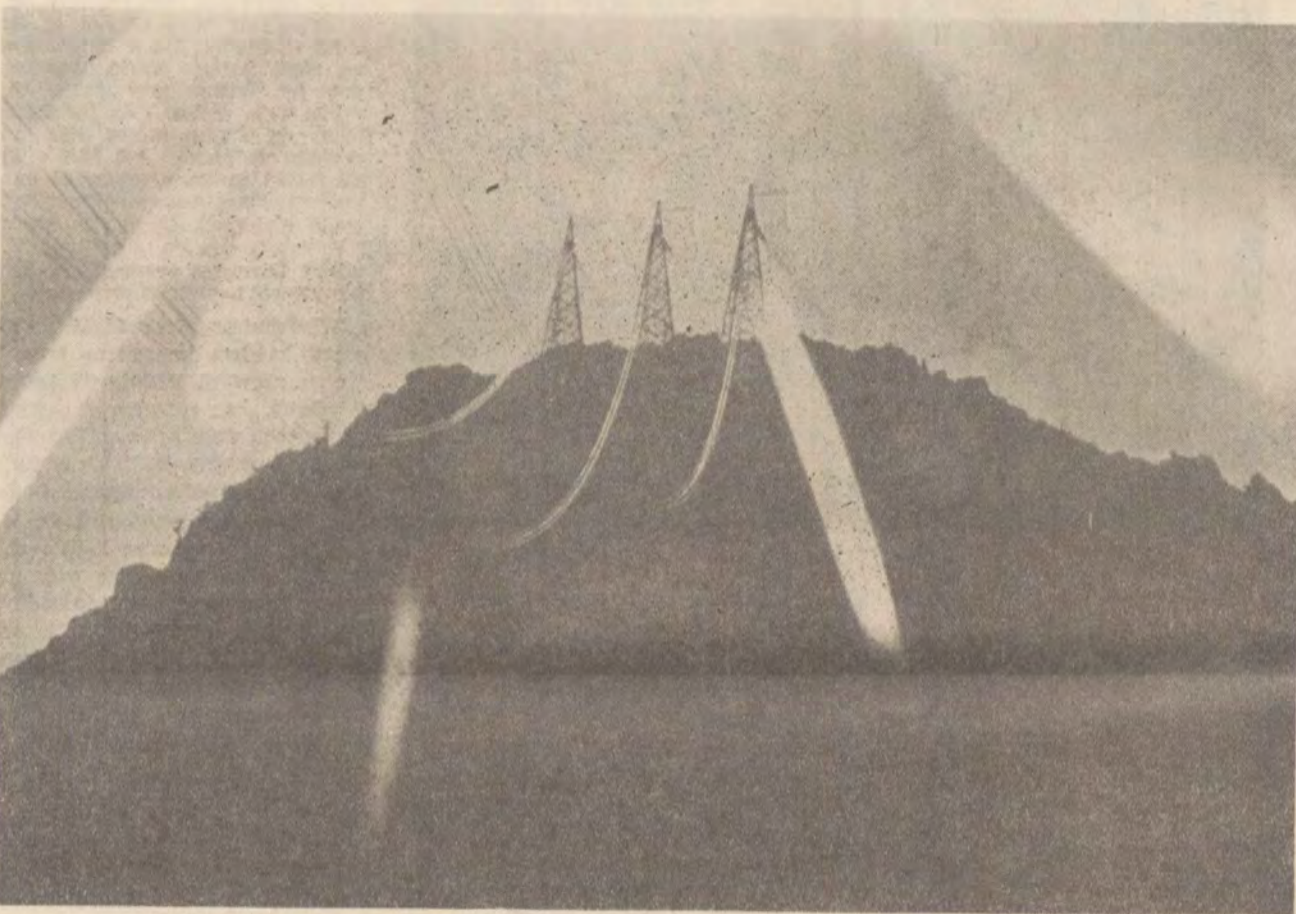


Foto: Archiwum

„Rogowiec” da tyle energii, ile wszystkie elektrownie pracujące na węglu brunatnym w Polsce razem wzięte: Turów, Pątnów, Kozin, Adamów. Ale w Bełchatowie powstanie jeszcze elektrownia „Osiny”...

2.

Słyszałem takie głosy:
— Mammy najciemniejsze miasta w Europie.

— Nieprawda! w KDL tylko Budapeszt jest barwny.

— Kiedy nafta była tania, na Zachodzie było rześkie.

— Nasze neony są kiepskie. Instalowane z jakiejś okazji, mrugają, p.żez lata i deaktualizują się. Są nudne, nieefektywne, nie wnoszą nowych treści.

Każdej ogromnej inwestycji towarzyszą głosy licznych komentatorów. Przypochlebne, pełne zachwytu, zgryźliwe i dowcipne, nie pozbawione troskliwości. Czy to się aby opłaci. Nikt na wariata nie zajmuje setek hektarów gruntów pod inwestycję i nie pakuje w nią dziesiątków miliardów. Na całym świecie buduje się elektrownie z myślą o czterdziestoletniej eksploatacji. Tyle wytrzymują budynki i urządzenia i takie muszą być zapasy paliwa.

I taka będzie elektrownia „Rogowiec”.

Inżynier Emil Kurpiel, asystent dyrektora. Trzydzieści lat w Turowie.

— Blaha sprawa neonów? Proszę pana, kiedy fabryka wypuszcza z taśmy samochód, każdy go widzi, może go dotknąć, wsiaść i pojechać. Energia elektryczna jest niewidzialna. I dlatego każdy powinien sobie zdać sprawę, co się z tym kryje, że może podejść, przekroczyć kontakt. Aby zapłonęły nowe żarówki, trzeba dziesięć lat pracy tysięcy ludzi i miliardowych nakładów. Każdy powinien wiedzieć, że jedno stanowisko robocze w elektrowni kosztuje dwadzieścia milionów złotych...

Jedziemy przez plac budowy. Pierwsze, nieefektywne roboty, ale zanim

cyklowe: ziemne, łączność, komunikacja, palowanie i estakady. Postęp roboty znaczny.

Grzęzę w piasku, świszcze porywisty wiatr, ludzie w kaskach kryją twarze w postawionych kolnierzach waciągów. Pracują palownicy. Maszyny na gasienicach, u ich ramion zawieszono rury zakończone wiertłami. W wywiercone otwory wkłada się rury oplecione stalowym żebrowaniem. W rury wlewa się beton. Każda z rur ma sześćdziesiąt do osiemnastu metrów wysokości i dziewięćset milimetrów średnicy. To są te pale, operacja nazywa się palowaniem.

A żeby stanęła elektrownia, należy wpuszczać w ziemię tysiąc sześćset pali.

— Na palach — wyjaśnia inż. Kurpiel — kładziemy płyty betonowe. Na nich, obok drogi wschód-zachód, wzdłuż dłuższej osi budynku głównego powstają estakady — ciągi komunikacji poziomej. Palowanie to podstawa, na której stanie elektrownia. Chciałby pan z kimś porozmawiać? — rzucił przytrzymując zrywającą przez wiatr czapkę.

Krzyżuję do siedzącego wysoko na palownicy operatora, wymachuję noteseem Zrozumiał. Odpowiada poprzez jagot maszyn:

— Gazeta? Panie, tutaj nie ma bohaterów. Przyjeżdż pan za rok!

Zbliżamy się do asfaltowej drogi pod lasem. Tutaj będzie wjazd do elektrowni. Za pasmem sosen zbudowano już nową drogę.

Wjeżdżamy do Słoka i zatrzymujemy się przy moście na Widawce. Kurpiel patrzy z roztęrką na spienioną wodę i stojący nad nią młyn wodny.

— Nie wiem, czy zostanie, trochę go szkoda. Bo wie pan, mimo środków zapobiegawczych, zawsze niszczyliśmy środowisko. Obiegi wody chłodzonej zamknięte, nie wyrzucimy gorącej wody do rzeki; na kominach bardzo dobre polskie elektrofiltry, ale zapachu przyjemnego nie będzie. Przed eksploatacją i w jej trakcie będziemy wykonywać w terenie pomiary zapyle-

3.

Słyszałem również takie opinie:

— Kto nie bierze udziału w procesie inwestycyjnym, ten nie rozumie problemów energetyki.

— Użytkownik tę ogromnie kapitałochłonną sprawę najczęściej utożsamia z inkasentem.

— U nas nie ma bubi. Tu się nie magazynuje towaru. Jest go zawsze tyle, ile trzeba.

— Elektrownia świadczy najszybsze usługi: chceś to masz!

— Nasza „niewidzialna” produkcja dociera do każdego mieszkania. Można ją przekształcić w siłę, ciepło, światło, głos i obraz.

Kiedy w pogoni za tanim symbolizmem wspominałem widzianą w Kozienicach stojącą pod linią wysokiego napięcia chałupę, w której słabo kopciła naftówka, dyrektor Kołcz potraktował sprawę poważnie:

— Kontrasty powstają w miarę budowy. W Pątnowie przy wjeździe do elektrowni także pozostała taka chałupa na kurzej łapie. Świadczyła o przeobrażeniach, ogromie i znaczeniu energetyki w życiu społecznym. Prosty przykład: kto dziś wejdzie po schodach do mieszkania na dziesiątym piętrze?

Fakt. Słynną awarię energetyczną w Stanach Zjednoczonych uznano za katastrofę światową. Ludzie uwięzieni w windach, górnicy w kopalniach, pasażerowie pociągów w tunelach i metrach. Wyzwolili się lek przed ciemnością, wzrosła ilość samobójstw.

— Widzi pan — mówi na pożegnanie Kołcz — w przyrodzie życie biologiczne uwarunkowane jest procesami elektrycznymi. Tak samo w życiu społeczeństw. Ciągłość życia, to ciągłość energii elektrycznej...

RYSZARD BINKOWSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

Trzypiętrowy gmach. Cały pusty i ciemny. Tylko w dwóch pokojach pali się jasne światło. Większy — z dwoma pulpitemi dyspozytorskimi, ze ścianami obwieszonymi wielkimi planszami, obrazującymi schemat całej sieci energetycznej miasta i jego okolic. To — dyspozytorna.

Drugi pokój — to telemia, czyli telemechanika. Stoją tu ogromne szafy z pulpitemi pełnymi przełączników, wyłączników i lampek sygnalizacyjnych. Stanowią one odpowiedniki schematów, automatycznie sygnalizu-

gotowiem. — Zasil szpital. Tylko piorunem!

Pogotowie pędzi ciemnymi ulicami, a tymczasem K. Woźniakowski odbiera kolejny interwencyjny telefon:

— Tu tkalnia „Brokat”! Mamy zanik napięcia! Aha, rozumiem! Jak długo to potrwa? Do godziny?! W porządku.

Szpital dostał energię. Pobiera ją z innej linii.

— Dobra jest. Teraz szybko do podstacji. Zakłady stoją. Trzeba je zasilic. Tylko, cholera, stary kabel. Jeszcze z lat trzydziestych. Cienki — trzydzieści pięć kwadratów. Ale nie ma innego wyjścia. Dajemy tędy — następne polecenie od F. Bialeckiego.

wieku. Nie na takie obciążenia. Nie opłacało się go naprawiać? Ale mogli, do ciężkiej cholery, położyć wcześniej, a teraz kłops zupełny!

— Tak, zupełny kłops — K. Woźniakowski odbiera kolejny telefon z „Brokatu” — mamy potężną awarię. Co najmniej kilka godzin!... Jak na rano będzie, to i tak dobrze. Co z ludźmi?... Puścić do domu!... Wiemy, że straty, ale nie na to nie poradzimy. Sieć nadmiernie przeciążona.

Dyspozytor stoi przy pulpicie ze słuchawką w ręku. Trzaska przełącznikami. Jedna rozmowa za drugą:

— Natychmiast ściągnać Urbańskiego. Naprawiają kabel w rejonie Lublinka. To może poczekać do jutra. Jest pilniejsza robota.

— Fortuna, Fortuna! Zgłoś się! Rzuć to wszystko w diabły i leć na Rudę. Cała wyleciała!

Po chwili pogotowie energetyczne melduje:

— Jestem już na miejscu. Zaraz dam znać, jak tylko ustalę, co się dzieje!

Ledwie Fortuna się wyłączył, a już w gromkofonie rozlega się głos z miasta:

— Panowie, co się tam dzieje! Zupelny skandal! Jak to kto?! Mieszkaniec Rudy Pabianickiej. Dzieci mam studiujące, a uczyć się nie mogą, bo wy wciąż światło wyłączacie. Ja się poskarżę! Awaria?! Jaka tam awaria? Myślicie, że wam kto uwierzy?!

— Uwaga, EC-II — wychodzi na bezpośrednie łącze K. Woźniakowski — mamy awarię na Rudzie. Przygotujcie się! Tak, natychmiast dam znać, jak usuniemy. Nie sądzę, żeby dłużej niż godzinę, ale to nigdy nie wiadomo.

— Elektrociepłownia ma rezerwę wody, ale nie starczy jej na długo. A potem? Potem — musi stanąć! Kawał miasta bez światła i ciepła.

Z szumem i charczeniem włącza się głośnik centrali radiotelefonicznej:

— Dyspozycja! Nie możemy wejść na rozdzielnię. Czarno od dymu! Potwierdziliśmy drzwi i okna. Wietrzyśmy, ale na razie udusić się można.

— Fortuna, Fortuna — woła dyspozytor. — Póki co, jak tylko dasz radę, obłącz wyłączniki.

Wpada główny inżynier zakładu — dyrektor Wiesław Kmin. Przyjmuje raport. Po chwili wybiega znów z dyspozytorni:

— Podskocz do Fortuny, na Rudę, zobacz co się tam dzieje.

Mija kilka minut. Zgłasza się pogotowie:

— Panie Franku, miał pan rację! Wyłącznik rozbił. Głowica przy transformatorze cała się rozleciała.

— Rysiu, dobra jest! Weź, odstaw kabel z pola własnych potrzeb stacji. Powinno zagrać.

— Szefie, gra! — melduje po chwili Ryszard Fortuna. W kilka sekund po kolejnym telefonie z miasta:

— Proszę pana, to świństwo, to skandal! Jakże tam awarie?! Tylko dołatego właśnie na nas oszczędzacie. Wczoraj bez światła, dzisiaj bez światła. Nie zrobić nie można, ani prać, ani prasować, ani oglądać telewizji. To są kpiny! My płacimy za światło... No tak, za zużyta energię nie płacimy, ale wszystko jedno...

Ruda znów ma światło. Ryszard Fortuna pozostaje jeszcze w stacji: na pole własnych potrzeb trzeba doprowadzić z powrotem energię. Stacja jest bowiem teraz pozbawiona prądu potrzebnego nie tylko do oświetlenia jej wnętrza, ale przede wszystkim — do napędzania silników elektrycznych, poruszających wyłączniki. Gdyby nastąpiła kolejna awaria...

— Odpukać w niemalowany kabel! — Dyspozycja! — odzywa się radiotelefon służby pomiarowej. — Mamy już uszkodzenie. Jakies sześćdziesiąt metrów od szpitala!

Brzygada naprawcza przystępuje do wykopywania kabla. Ciemno, zimno, mokro. Służba nie drzuba. Liczy się każda minuta.

Krzysztof Woźniakowski przekazuje zbiorcze dane do bilansu ogólnego. Franciszek Bialecki wraca do raportów i do przerwanej przed kilkoma godzinami rozmowy:

— Tak, czterdzieści lat pracy w tym zawodzie. Dwadzieścia lat — w dyspozycji ruchu. Początki, wbrew temu, co się wydaje, były łatwiejsze. Wystarczy proste porównanie. Kiedy zaczynałem pracę, cała Łódź pobierała 45 megawatów, a teraz — przeciętne obciążenie w godzinach szczytu sięga 540 megawatów. Sieć pracuje na granicy wytrzymałości. Trzeba się nieustannie gymnastykować, żeby poradzić sobie z tak gigantycznym zużyciem energii. Tak, doszliśmy do etapu, w którym nie ma przesady w stwierdzeniu, że jeszcze jedna włączona niepotrzebnie żarówka może wywołać katastrofę.

W przerwach między telefonami, wypisywaniem raportów i innych dokumentów K. Woźniakowski grzeje wodę, robi herbatę. Jest już po dziewiątej. Obaj wyciągają kanapki, których nie zdążyli do tej pory nawet ugryźć. Dyżur dobiega końca. Za kilkadziesiąt minut przyjdą zmiennicy: Ryszard Szymański i Piotr Krukowski, którzy pracować tu będą do rana.

— No, jeśli już nie więcej się nie wydarzy — głośno myśli F. Bialecki — to dziś wrócimy do domu względnie wcześniej. Ba, jeśli nie będzie trzeba iść do domu na piechotę, tak jak wczoraj. Mieszkam na Inflanckiej, a połączenia w tym kierunku są fatalne.

— Zresztą — żartuje na koniec — komunikacja jest w ogóle fatalna. Jak nie urok, to przemarsz wojska. Ciągłe jakieś kłopoty i awarie...

KWIAT W CELOFANIE

Nowy tom opowiadań Janusza Skoszkiewicza — „Kwiat w celofanie” zwrócił już uwagę krytyki i wszystko na to wskazuje, że zyska także uznanie czytelników. Większość pomieszczeń w zbiorze opowiadań nie była dotąd publikowana, można więc uznać, że „Kwiat w celofanie” nie tylko sumuje w pewnej mierze dorobek autora, lecz odpowiada również na pytanie — w jakim kierunku rozwija się jego proza.

Myślę, że Skoszkiewicz pozostał wierny dotychczasowemu, jeśli tak można powiedzieć — modelowi swoich opowiadań. Są one w dalszym ciągu intymne, skupione wokół osobistych przeżyć bohaterów, ale przeżył bynajmniej nie letnich, przeciwnie, opartych na mocnych uczuciach. Skoszkiewicz unika bezpośredniego opisu sytuacji społecznych, kreśli je delikatnie, w dalekim tle, na pierwszy plan wysuwa wewnętrzny świat pojedynczego człowieka i w obrębie tego właśnie świata rysuje ostro losy swoich bohaterów, ich konflikty i perypetie.

Jeden z ulubionych motywów Skoszkiewicza to — powroty do czasów młodości, dalekich lat, w których nie spełniło się marzenie o jakimś zwykłym szczęściu. Ową powracanie pod wpływem rozmaitych okoliczności tak bardzo widoczne w opowiadaniach „Rzeka”, czy „Księżycowy kochanek”, zdaje się przypominać starą prawdę — przez całe życie niesie ze sobą człowieka pamięć o tym co było, lub mogło być piękne. Pamięć w ujęciu Skoszkiewicza spełnia podwójną rolę. Jest z jednej strony liryczna postać żalu po stracie kogoś drogiego, z drugiej zaś strony sędzią, który przypomina, że to my błądziliśmy i stąd niepowodzenia, to my wykazywaliśmy brak konsekwencji w postępowaniu ale nie życie i dlatego spadły na nas kary.

Skoszkiewicz wyraźnie wzbogacił swój warsztat prozatorski, pogłębił wiedzę o wewnętrznym świecie człowieka, coraz lepiej tworzy swoliste klimaty swoich opowiadań. Nie tylko zresztą poprzez oszczędny i precyzyjny dialog, w całym tomie darmo szukać chociażby jednego gaduły. Ów szczególny, niepowtarzalny klimat opowiadań wzmacnia także przyroda. Nie pełni ona roli ornamentu, lecz niejako uczestniczy w ludzkich sprawach, pogłębia konflikty, podnosi ich temperaturę. Tak właśnie dzieje się w opowiadaniu „Rzeka”, a przede wszystkim — „Łódce przewoźnika” opowiadaniu, które uznalibyśmy za najlepsze. Zwykła pozornie sprawa niesnasek rodzinnych, rozdziewków pomiędzy mężem i żoną, nabiera tragicznego wymiaru dzięki przewoźnikowi i rzecze, bo to właśnie ona przypomina ludziom, że może ich rozdzielić w miejscu dalekim od wygodnego mostu i tylko stary przewoźnik mógłby ich jeszcze połączyć, ale nie zawsze wtedy, kiedy rozdzieleni tego pragną. Przewoźnika — jak przestrzega stara legenda — można zawezwać tylko dwa razy, za trzecim przyjdzie już tylko nieszczęście. Groźna rzeka, noc, stare wątki baśniowe ingerują więc w realne życie ludzi, zaostrzają konflikty, nie udziwniając jednak lecz bogactwami składniki klimatu opowiadań.

Nie wszystkie wszakże opowiadania z tomu „Kwiat w celofanie” utrzymują się w intymnej i lirycznej tonacji. Kilka z nich ukazuje inne właściwości prozy autora. Skoszkiewicz, bystry obserwator ludzkich zachowań i charakterów, napisał także kilka niemal satyrycznych opowiadań, że dla przykładu wymienię — „Dom przy drodze” czy „Pamiętkę po bohaterze”. Są to opowiadania gorzkie w swojej wymowie, ostro atakujące obowiązujące jeszcze, niestety, normy moralne dnia dzisiejszego. Ludzka chytryść, łamania wszelkie bariery przyzwoitości, ślepa na nieszczęście drugiego człowieka, wykorzystująca dobrą wolą naiwnych. W tych właśnie opowiadaniach odrzuca Skoszkiewicz wszelkie poetyckie wizje na rzecz prozy w dobry, przekonujący sposób zaangażowanej w trosce o moralne oblicze współczesnego człowieka. Pozostaje tylko ta sama oszczędność słów w dialogach i opisach.

Mówi się u nas często, że kończy się polska nowela. I to w kraju, który ugruntował swoją tradycję czytelnictwa właśnie na tym gatunku literackim, opowiadaniach Sienkiewicza, Prusa, czy Reymonta. Prawda to tylko przejściowa, przez pewien czas istotnie brakowało nam nowelistów, którzy — jak sądzę — łapią drugi oddech, na co także wskazuje ostatni tom autora „Kwiatów w celofanie”.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Janusz Skoszkiewicz — „Kwiat w celofanie”, Wydawnictwo Łódzkie, 1976.

awaria

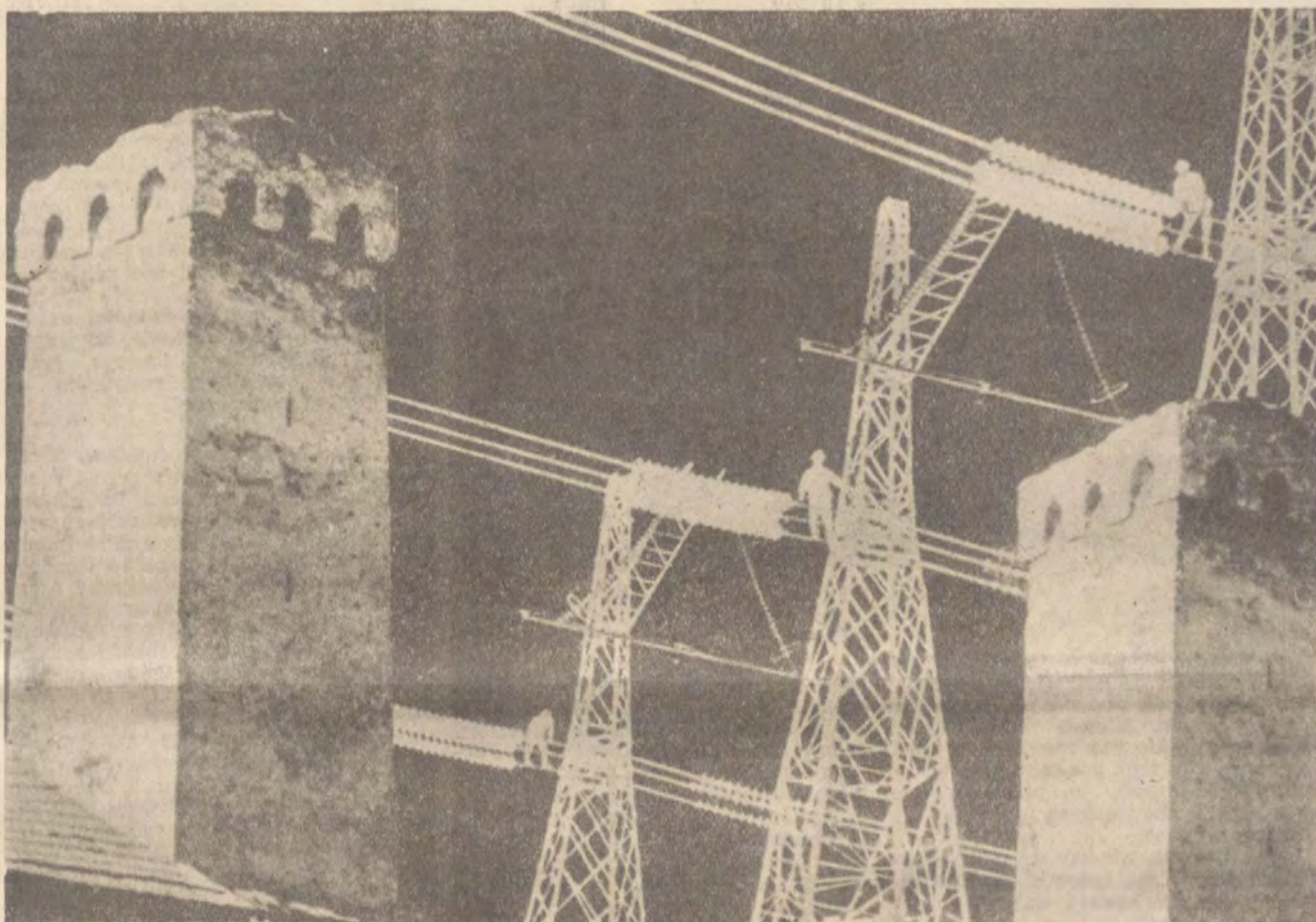


Foto: Archiwum

jące stan wszystkich stacji, podstacje i połączeń kablowych.

Za pulpitemi dyspozytorskimi — Franciszek Bialecki i Krzysztof Woźniakowski, kierownik zmiany w dyspozytorni i jego asystent. Mają oni przed sobą pięćdziesiąt bezpośrednich połączeń telefonicznych, kilka — radiotelefonicznych, linię wysokiej częstotliwości, łączącą ich z całym krajem a nawet z ZSRR i CSRS. Mają też do dyspozycji kilkadziesiąt pracowników Zakładu Energetycznego ze służb rejonowych, brygad naprawczych, służb pomiarowych, pogotowia energetycznego, służb maszyn i urządzeń...

Dyżur trwa. Przed chwilą rozległ się dzwonek alarmowy.

— Na Millionowej 14 jest szpital. Najważniejsze — dać energię szpitalowi. Powinien on mieć rezerwowe źródło, ale z tymi rezerwami różnie bywa — dysponuje Franciszek Bialecki, łącząc się za pośrednictwem starego „Morsa” z ekipą pogotowia energetycznego.

Przy radiotelefonie elektromonter Ryszard Fortuna. Jest właśnie na terenie stacji „Dąbrowa”, gdzie dotarł zgodnie z poprzednią instrukcją.

F. Bialecki przekazuje kolejne polecenia: przełączania, wyłączania i włączania poszczególnych odcinków sieci. Jak w śledztwie — metodą dedukcji i redukcji — lokalizuje się uszkodzenie. Najważniejsze: zlokalizować, czyli znaleźć możliwość zasilenia pozbawionych energii ulic inną drogą — z pominięciem uszkodzonego odcinka.

— Rysiu, uszkodzenie jest na odcinku: Millionowa 14 w kierunku Strzelczyka — kolejna rozmowa z po-

Przez chwilę cisza. Zamilkły nawet brzęczyki telefonów. Dyspozytor i asystent czekają. Nagle telemia zaczyna przeraźliwie dzwonić.

— Dobra jest — uśmiecha się F. Bialecki. — To sygnał, że Rysiek Fortuna łączył cały rejon. Wyłączony jest tylko krótki odcinek między Millionową a Strzelczyką, a reszta ma już energię.

K. Woźniakowski wraca do telefonicznego zbierania danych do ogólnego bilansu mocy. Jego szef opisuje przebieg wydarzeń w tłustej książce raportów.

Wtem z gromkofonu rozlegają się alarmujące słowa:

— Uwaga, dyspozycja! Na „siedemnastce” mamy obciążenie 320 amperów!

— Cholera — klnie Bialecki, zrywając się z fotela. Chwyta za radiotelefon: — Fortuna, stań. Pędem z powrotem odłącz ten rejon, bo nam kabel poleci.

Ułamki sekund. Znow gromkofon: — Dyspozycja! Kabel siedemnasty leży!

— Panie Franku, stało się — woła Ryszard Fortuna — wyłącznik się rozwalil, cała ściana zachlapana oliwą!

— Tak, wiemy — wtrąca K. Woźniakowski, dodając z nadzieją — a może to tylko wyłącznik?

Po chwili sprawa jest oczywista: przepalił się kabel.

— I co teraz będzie? — pytam. — Widzi pan, była jeszcze jedna możliwość zasilenia, jeszcze jedna droga — odpowiada F. Bialecki, prowadząc mnie do schematu.

Schemat został przecięty błyskawicą nakreślonej ołówkiem. Jest to symbol uszkodzenia. Obok: data. Lipiec!

— No i co z tym kablem? — dyspozytor już przy telefonie. — Aha, nie do naprawienia, lecz do wymiany. Wiadomo, cienki, stary, sprzed pół

— Tak, siedem stacji nie ma energii. Roboty na kilka godzin.

— Inżynier Henryk Sobczyński już pojechał? Nie ma radiotelefonu?! Lapię go jak możecie, jak trzeba, to i do domu podjechać!

— Panie Cerbin, niech pan się duchowo przygotowuje. Cała noc roboty. Termos, kanapki, ciepła podkoszulka. Tak, robota. Dwa kable poszły. Nie ma możliwości innego zasilenia, trzeba na gwałt kopać!

— Fortuna, leć na Wolborską trzy mieszkania dwadzieścia sześć. Tak, po Urbańskiego i dawaj go pod ruch.

— Złapaliście inżyniera Słabońskiego? To znakomicie.

— Inżynierze, trzeba pomierzyć kabel od szpitala Millionowa 14 do Strzelczyka. Znow może sięść. A ten — sto osiemdziesiąt pięć. Wytrzyma całe obciążenie. Dobrze — ściągamy ludzi.

Służba pomiarowa przystępuje do pracy, lokalizując uszkodzenie kabla. Brygada naprawcza szykuje się do kopania ziemi. Niecierpliwia się, bo pomiar trudny. Rutynowe badania nie dają efektów. Trzeba się dostać do kabla i nadpalić go, dzieląc całą linię na odcinki.

A tymczasem asystent odbiera telefon, w czasie którego błędnie i opada ciężko w fotel.

— Tu dyżurny elektryk z Zakładów Przemysłu Bawełnianego imienia Armii Ludowej — rozlega się w głośniku. — Tak, przy Starorudzkiej. Przed chwilą wystąpił u nas zanik napięcia!

Po chwili następny telefon i kolejny. Nie ma złudzeń:

— Cała Ruda wyleciała, tak jak wczoraj! O rany!

Franciszek Bialecki nie traci zimnej krwi:

JACEK INDELAK



Foto: Archiwum

3:0 DLA SZEKSPIRA

Osiemnastego i dziewiętnastego listopada bawiła w naszym mieście grupa angielskich aktorów z Teatru Narodowego w Londynie wraz z jednym z współdyrektorów tego teatru, znanym teoretykiem literatury oraz profesorem na Uniwersytecie w Sussex — John Russell Brownem. Profesor Brown jest także założycielem Wydziału Dramatu i Sztuki teatralnych na Uniwersytecie w Birmingham, którym to wydziałem kierował do roku 1971. Współpracę z Teatrem Narodowym rozpoczął w roku 1973, gdy dyrektorem został Peter Hall. Profesor Brown wyreżyserował wiele sztuk, zarówno w Anglii jak i w Stanach Zjednoczonych. Od jakiegoś czasu prowadzi próby warsztatowe „Króla Leara”, „Makbeta” i „Hamleta”. Jest także autorem wielu książek poświęconych teatrowi.

Przedstawiciel naszej redakcji odbył rozmowę z profesorem Brownem.

— Panie Profesorze, proszę najpierw o kilka słów na temat charakteru Pana pracy.

Jednym z moich obowiązków w ramach współpracy z Teatrem Narodowym są kontakty z pisarzami. Oglądam bardzo dużo sztuk, a kiedy zainteresuje mnie jakiś pisarz, staram się zebrać jak najwięcej danych o nim. Jestem również odpowiedzialny za działalność biura rękopisów. Rocznie otrzymujemy około 350 nowych sztuk od różnych autorów. Kieruję specjalną grupą ludzi czytających te sztuki. Sam czytam tygodniowo ok. 4–5 sztuk.

Odpowiadam również za przekłady sztuk obcych i to zarówno starszych jak i współczesnych. Przy tłumaczeniach staram się raczej zatrudniać dramaturgów a nie zawodowych tłumaczy, gdyż nie zawsze mają oni wyuczony specyfiki teatru.

Ogólnie mówiąc, moja praca w Teatrze Narodowym jest dwójakiego charakteru: po pierwsze, zajmuję się działaniem rękopisów, zawieram umowy o napisanie względnie przetłumaczenie sztuk a po drugie, jako dyrektor teatru, zajmuję się pracą o charakterze eksperymentalnym już to z tekstami nowych sztuk, już to ze szczególnie trudnymi tekstami sztuk.

— Na początek skoncentrujmy się na pierwszym rodzaju Pana pracy. Przeczytanie pięciu sztuk w tygodniu jest pracą ogromną. Czy taka ilość no-

wych tekstów wskazuje na to, że w Anglii jest dużo dobrych dramaturgów?

Nie, nie oznacza to wcale, że w Anglii jest dużo dobrych dramaturgów. Wydaje się jednak, że obecnie ludzie wolą pisać sztuki niż cokolwiek innego. Kiedy ja byłem młody, pisało się opowiadania lub poezję. Obecnie jednak młodzi ludzie wolą pisać sztuki. Charakterystyczne jest także to, że coraz więcej ludzi teatru zabiera się do pisania sztuk. Tłumaczyć to można chyba tym, że obecnie w teatrze praca nad sztuką staje się coraz bardziej kolektywną współpracą o charakterze eksperymentalno-odkrywczym, a powiązanie tekstu z końcowym produktem — przedstawieniem jest płynne, zależne od stylu reżysera czy danej grupy aktorów.

Jest niesłychanie trudno stać się dobrym dramaturgiem i dlatego takich ludzi jest tak niewiele. Teatr Narodowy stara się wychować swoich własnych dramaturgów, staramy się pisać dla teatru ściślej z naszym teatrem związać. Dlatego też pragniemy mieć, że tak powiem, „dramaturgów zakładowych”. Obecnie mamy już jednego takiego dramatopisarza, który ma dopiero 23 lata. Mam nadzieję, że pod koniec roku będziemy mieli jeszcze dwóch, również młodych. Ta

generacja młodych pisarzy zaczyna tworzyć rzeczy bardzo interesujące.

— Czy wydaje się Panu rzeczą możliwą wyszkolenie dramaturga, autora sztuk?

Nie wydaje mi się, aby można było tego dokonać. To, co można zrobić, to starać się stworzyć właściwe warunki, w jakich dany twórca mógłby optymalnie pracować. Szkoła dramaturgów jest według mnie rzeczą niemożliwą. Jeśli jednak odkryje się kogoś utalentowanego, to trzeba, po pierwsze, wystawić pierwszą jego sztukę a po drugie, zachęcić go do napisania drugiej a właściwie i trzeciej sztuki, bo trzecia jest chyba najważniejsza. Nie twierdzę, że należy początkującym autorom wszystko ułatwiać, lecz trzeba spowodować, aby pracowali w sposób ciągły. Jedną z rzeczy, które może zrobić teatr zainteresowany rozwojem talentu pisarzy, to znaleźć właściwy kontekst pracy. Dlatego też zapoczątkowaliśmy akcję „dramaturgów zakładowych”, gdyż chcemy ich w określony sposób związać z teatrem. Mają oni prawo wstępu na próby i okazję do dyskusji nad koncepcją sztuki. Rzeczą niebagatelną jest także fakt, że sztuki tych początkujących autorów wystawiane są przy współudziale najwybitniejszych aktorów i reżyserów. Mówię tu przede wszystkim o przedstawieniach eksperymentalnych.

— Czy moglibyśmy teraz porozmawiać o drugiej części Pana pracy, tej bardziej eksperymentalnej? Wczoraj widzieliśmy bardzo interesujące przedstawienie tego rodzaju. Czy mógłby Pan powiedzieć coś o istocie tego eksperymentu?

To, co pokazaliśmy wczoraj (starałem się to też wyjaśnić przed spektaklem) jest efektem współpracy z wieloma aktorami. Jest to coś w rodzaju przedłużenia teatru w dziedzinę nauczania. Jest to rodzaj próby warsztatowej, w której pokazuje się studentom moment, od którego sztuka zaczyna ożywać. Jest to zazwyczaj bardzo osobiste i nieokreślone stadium pracy. W ciągu ostatnich lat przeprowadziłem całą serię takich prób i to z dwu powodów: po pierwsze, jest rzeczą pożyteczną dla młodych ludzi, gdy uczą się czytać sztuki dla siebie. Różnica między tekstem sztuki a jej ostateczną formą przedstawienia, gdy wszystko w niej zostało określone jest ogromna. Dla młodego studenta są to dwie różne rzeczy. Uważam za niezwykle istotny fakt, że młodzi ludzie mogą uczestniczyć we wszystkich stadiach rodzenia się przedstawienia.

Drugim celem ma na uwadze aktorów, gdyż tego rodzaju praca różni się od ich pracy na co dzień. Wielu aktorów Teatru Narodowego chętnie bierze udział w pracy warsztatowej, bo zachęca ich ona do wykazania się swego rodzaju odwagą w poszukiwaniach twórczych w bardzo wczesnych stadiach ich pracy. Zazwyczaj takie przedstawienia odbywają się nie w teatrze lecz w klasie i uczestniczy w nich od 30 do 50 studentów. Publiczność ta reaguje natychmiast na grę aktorów i to jest bardzo interesujące.

— Część publiczności bez wątpienia myślała, że był to pewien rodzaj eksperymentu, w którym starał się Pan znaleźć nowe sposoby przedstawiania sztuk Szekspira...

Absolutnie nie! Współczesne inscenizacje Szekspira, które idą w ściśle określonym kierunku interpretacyjnym ograniczają reakcje widowni do reakcji na określony produkt — inscenizację. Termin ten jest pojęciem nowym i w czasach elżbietańskich nie istniał. Nie było też reżysera ani takich prób jak obecnie. Nad nową sztuką pracowano wspólnie być może przez trzy lub cztery przedpołudnia. Aktorzy uczyli się swoich ról na pamięć a potem spotykali się na scenie. Przedstawienie „rodziło się” za każdym razem od nowa. Było to coś jak mecz piłki nożnej, gdzie gracze trenują lecz nie wiadomo, co podczas meczu będzie najważniejsze, gdzie będą się znajdować poszczególni piłkarze, jak określona technika sprawdzi się w grze, jak wpłynie na grę reakcja widowni. W elżbietańskim teatrze przedstawienie zmieniało się cały czas w podobny sposób. Musiało owocować mnóstwem przypadkowych zdarzeń. I wydaje mi się, że tekst Szekspira doskonale nadaje się do takich inscenizacji.

Szekspir często zadziwia najwytrawniejszych znawców jego sztuk

tym, że znajduje się w nim mnóstwo aluzji, podtekstów i możliwości interpretacyjnych. W teatrze najważniejszą rzeczą jest to, co zachodzi w umysłach widzów. Jeśli muszą oni obserwować zbyt wiele rzeczy jednocześnie, to ich twórcza wyobraźnia zostaje przytłoczona ciżbą wrażeń. Jeśli zaś sztukę wystawi się w zwykłym pokoju, przy zwykłym oświetleniu, to może zdarzyć się coś wyjątkowego, być może drobnego, jak choćby zbyt długa chwila milczenia na scenie, co ukaże w nowym świetle rozgrywane się wypadki i pozwoli wyobraźni widzów wybuchnąć nowym zrozumieniem.

— Porównał Pan teatr ze sportem. Wielu reżyserów stara się wprowadzić do swych inscenizacji elementy nieokreśloności i niepewności. Jednakże jeśli sztuka jest napisana, to koniec jej jest znany i nie może się Panu taka próba w pełni udać.

— Koniec nigdy nie jest znany. Weźmy za przykład „Makbeta”. Nie znamy zakończenia „Makbeta” ponieważ nie wiemy jak Makbet umiera. Zakończenie tej sztuki, to walka bez słów. Fakt, że człowiek umiera jest sprawą trywialną w porównaniu z tym jak on umiera. Jeśli udajemy się na jakąkolwiek inscenizację tej sztuki, to nigdy z góry nie wiemy jak Makbet umrze. Każdy reżyser zrealizuje to po swojemu. Wydaje mi się, że wystawienie sztuki Szekspira jest z tego powodu próbą sztuki aktorów. Przy próbach warsztatowych tej samej sztuki odbywających się przez kolejne trzy czy cztery dni widownia reaguje za każdym razem inaczej. Widzowie zostają wciągnięci w proces tworzenia. I to jest coś, czego łatwo nie zapominają.

— Powiedział Pan, że takie przedstawienia są próbą sztuki aktorskiej. Czy jest to też próba wartości dla dramaturga? Czy nie jest to jeden z powodów, dla których wybiera Pan do przedstawień warsztatowych sztuk Szekspira?

— Bez wątpienia tak.

— Czy zechciałby Pan na zakończenie powiedzieć kilka słów o samym Teatrze Narodowym?

Jest to pierwszy teatr tego typu w Anglii. Próby o powołanie go do życia trwały od 120 lat. Po ostatniej wojnie Parlament zdecydował uruchomić odpowiednie fundusze. Na początku lat 60-tych powołano komitet złożony z ludzi teatru, takich jak Peter Brook, Peter Hall, Laurence Olivier, Michael Elliot i in., którego zadaniem było opracować wymagania jakie teatr taki winien spełniać. Kiedy komitet zakończył pracę, okazało się, że wymarzony przez nich teatr nie może być zbudowany, gdyż jest to niemożliwość. Sprawę rozwiązano w ten sposób, że postanowiono zbudować kompleks teatrów na południowym brzegu Tamizy, niedaleko Parlamentu, składający się z trzech teatrów. W chwili obecnej czynne są już dwa z nich: Olivier Theatre i Lyttelton Theatre. Trzeci teatr mamy zamiar uruchomić w lutym przyszłego roku.

Wszystkie te teatry zostały tak pomyślane, aby można było w nich wystawić dowolną sztukę. Wyposażono je w wiele urządzeń, jak choćby w komputer sterujący zmianą dekoracji, kształtu sceny itp.

Pragniemy, aby Teatr Narodowy stał się miejscem, w którym ludzie odwiedzający Londyn będą chcieli spędzać wolny czas. Dlatego też poza przedstawieniami odbywają się tam recytacje poezji, koncerty muzyczne, czynne są wystawy, bary, restauracje.

Jest to bardzo piękna idea, która została wcielona w życie. Jedynym cieniem są ogromne koszty utrzymania takiego teatru, które stale rosną na skutek trwającego kryzysu. Jako ciekawostkę podam, że rachunek za samo oświetlenie wyniósł w zeszłym roku ćwierć miliona funtów, a utrzymanie gmachów, łącznie z ubezpieczeniem kosztuje około 1,5 miliona.

Pomimo tego jesteśmy zdecydowani dolożyć wszelkich wysiłków, aby teatr żył i działał. Już obecnie dotacje państwowe wynoszą tylko ok. 30 proc. w przeliczeniu na jedno miejsce.

Serdecznie dziękuję Panu Profesorowi za rozmowę w imieniu czytelników i swoim.

Notował:
BOGDAN KRAKOWIAN

DAWNE CZASY

Najlepszym sejsmografem notującym bezbłędnie drgania społecznych napięć jest wciąż stary, dobrze nam znany, teatr.

Przypomniała mi o tym wizyta Teatru z Londynu, pod kierownictwem prof. John Russel Browna.

Wszyscy prawie, którzy przyszli zobaczyć „Makbeta” po angielsku, zawiedli się srodze. Zamiast bowiem przedstawienia spodziewanego zobaczyli przedstawienie-próbe. Dwie panie i dwóch panów prowadzonych przez reżysera próbowało dotrzeć do sedna, zrozumieć zamknięte w tekstach prawdy i znaczenia przez wciąż zmieniającą się pod naporem reżysera interpretację tego samego wybranego fragmentu tekstu. Byliśmy więc świadkami lekcji publicznego czytania tekstu. Sztuki samej w sobie interesującej, ale nie tej, której oczekiwaliśmy z takim zaciekawieniem. Pan John Russel Brown prowadził próbę z pewnością siebie, lekko, aktorzy posłusznie szli za wciąż zmieniającymi się wskazówkami, pokazując tylko błyskami, że znają rzemiosło i wiedzą w czym rzecz.

Kto jednak zna teatr od kulis wie, że próby nie przebiegają tak gładko nawet, jeśli reżyser jest tak urokliwy, jak profesor John Russel Brown. Na prawdziwych próbach pot leje się z aktorów ciurkiem, a reżyser często traci nerwy, dochochodzą go gwałtowne spleć podobnych do sytuacji na rozmięklej wiejskiej drodze, gdy wóz zaladowany ponad miarę zaryje w rozmiękłym gruncie, a woźnica, poganając, zachęcając konie, próbuje krzykiem, biciem, razem z końmi przepchnąć wóz przez wyrwę.

Byliśmy więc świadkami próby grzeźnej, gładkiej, dalekiej jednak od prawdy.

Myślę, że taka forma upowszechniania teatru, zwłaszcza wśród studentów, budząca zainteresowanie poprzez ukazanie go w roboczym kombinowaniu, bywa czasami potrzebna. Czy była potrzebna naszemu widzowi? — na to pytanie każdy uczestnik przedstawienia-próby musi odpowiedzieć sobie sam. Jeśli idzie o mnie, myślę, że autorzy tego przedstawienia raz jeszcze padli ofiarą ducha teatru i niechcący stworzyli jeszcze jedno przedstawienie złożone z fragmentów „Makbeta” i z własnym komentarzem.

Wczoraj drugi dawał jednak satysfakcję tym wszystkim, którzy przyszli zobaczyć teatr angielski po angielsku. Nie będę więc widza polskiego, który sztuki nie zna, wprowadzał, dając opis przedstawienia. Ograniczę się tylko do ogólnego stwierdzenia: żelazna dyscyplina aktorów grających rzuciła się w oczy. Wszystko, co działo się na scenie, przez w tej chwili działającego, a więc zabierającego głos dosłownie i w przenośni, było wyłącznie jemu podporządkowane. Patrzyło się na to z uznaniem. Sama zaś sztuka była jakby przeciwieństwem „Trzech sióstr” Czechowa, ucieczką w marzenia o przeszłości. O ile „Trzy siostry” są nekane przez marzenia o jutrze, o tyle tu przeszłość okazuje się burzycielska, dosięga żywych i sytych. Zaskakuje więc wymowa ideowa.

Gdy jednak sięgnąć głębiej nieco, okazać się może, że właśnie w tym zaskakującym nieco spojrzeniu mieści się cała wielka tragedia Anglii dnia dzisiejszego. Ponieważ Harold Pinter, autor „Dawnych czasów”, pozostawia tak wiele rzeczy do domysłu widza, jak np. pytanie: co będzie z nim, bohaterami sztuki, jutro? — myślę, że nie pomyśle się, jeśli napiszę, że „Dawne czasy” są współczesnym lamentem nad losem człowieka, który został się z marzeniami o przyszłości.

Znakomita była June Ritchie, fascynująca w wycekiwaniu, nie podająca się osaczającej ją przeszłości. Uwodziła miękim, aksami tym głosem, ciągnęła widza na przekór temu, co działo się na scenie — w przyszłość. Heather Canning sprawiała wrażenie pustego naczynia, wypalonej namileności, którą tylko od czasu do czasu ożywiało wspomnienie gorętszej, kto wie, może nawet grzesznej przyjaźni. I ten trzeci, William Russell, nie wiem dlaczego, nie w jego postaci najwięcej było współczesnej dezintegrującej niakości, tak doskonale opisanej przez Alberta Moravia. Reżyser, John Russell Brown, zostawił po sobie pustą drogę do dalszych dociekań prawdy. Tym komplemmentem pragnęłbym podziękować teatrowi angielskiemu za wizytę w Łodzi.

KAROL OBIDNIAK

Aktorzy Teatru Narodowego z Londynu Harold Pinter „Dawne czasy” Spektakle prezentowane w dniach 18 i 19.XI.br.

BOHATEROWIE NA ETACIE

Dalszy ciąg na str. 1

Decydowały minuty. W tym czasie z powierzchni kopalni napłynął mel-dunek, że lej w mulowisku powiększa się jeszcze bardziej i woda w dalszym ciągu wpływa do podziemi. Dopiero o godzinie 18 otrzymano pierwszy meldunek o częściowym zahamowaniu dopływu mieszaniny wody i mułu węglowego do wyrobisk podziemnych. Do akcji wkroczył helikopter lecz jego pomoc okazała się niestety bezskuteczna, liczone jedynie na ludzi i nowocześnie sprzęt. Przez cały dzień i noc odpompowywano wodę z dopływu naturalnego jak również tworzącego się zbiornika na dnie leja. W dole natomiast trwały prace przy przebieganiu zawałów i rąbano chodniki ratunkowe w poszczególnych wyrobiskach. W centrum Dąbrowy Górniczej wiercono otwory ratunkowe. Miały one pomóc górnikom przy wydobywaniu się na powierzchnię. Ośiem pomp zainstalowanych na dole kopalni pracowało bez przerwy.

W tym miejscu warto dodać, że wiercenie otworów z powierzchni do odciętych zawałów górników zastosowano po raz pierwszy w Polsce. Nad opanowaniem tej techniki pracowano już od szeregu lat; w końcu okazało się, że prace te nie poszły na marne.

Otworami opuszczano pojemniki żywnościowe do odciętych od powierzchni górników. W ślad za pojemnikami opuszczano telefony ratownicze w celu nawiązania kontaktu z odciętymi od świata górnikami. Bez przerwy rurociągiem podszkawkowym odciętym górnikom podawano żywność i lekarstwa, a sprzęt powietrze wtłaczano rurociągiem przeciwpożarowym.

Mijały godziny; i dopiero na trzeci dzień z chodnika ratunkowego zameldowano o nawiązaniu kontaktu z odciętymi. Akcja ratownicza w kopalni GENERAL ZAWADZKI trwała 79 godzin i zakończyła się pełnym sukcesem uratowania górników. Pierwszy z uratowanych wyjechał na powierzchnię o godzinie 18, 27 lipca 1969 roku — czyli po 3 dniach od tragedii, a ostatni o godzinie 20,35. Wyszli oni chodnikiem ratunkowym. Ewakuacja odbywała się pojedynczo przy pomocy kulbowych urządzeń wyciągowych — bowiem drogi i dojścia do głównego szysu wyciągowego były w dalszym ciągu zaszlamowane i zatopione.

Ratownikiem, który uratował pierwszego z odciętych górników był Franciszek Cmok. To, że uratowano tak wielką ilość górników świadczy najlepiej o wspaniałym przygotowaniu załogi, jak również o znanej powszechnie solidarności górniczej. Szybka i energiczna akcja, niezwykła ofiarność i poświęcenie zastępów ratowniczych polskiego górnictwa rozesłała się szybko po całym świecie. Na wieść o katastrofie zgłaszali się pracownicy kopalni nie zatrudnieni w tym dniu w pracy — byli i tacy, którzy przerywali urlopy i z najbardziej odległych miejscowości przybywali, by włączyć się do akcji ratowania swych kolegów.

Na szczęście górniczych tragedii jest coraz mniej, dzieje się to dzięki wysokiemu wyszkoleniu licznych zastępów pogotowia ratunkowego zwanego po-

pularnie „Bohaterami na Etacie”. Oni to obciążeni aparaturą idą tam, gdzie grozi największe niebezpieczeństwo. Trzeba mieć spartańskie zdrowie, stalowe nerwy a przede wszystkim ogromną odwagę. Często przyglądam się, jak po tak zwanej szczytce, ze stoickim wprost spokojem popijają piwo. Pytam z zażenowaniem o strach — co prawda niemieckie to pytanie — lecz przecież ludzkie, każdy z nas się boi, lecz w żaden sposób ludzie z „Maltańskim Krzyżem” nie mogą dopuścić do tego, by strach wziął górę i paraliżował postępowanie. Mózg, nerwy i ręce muszą pracować sprawnie — wielka to sztuka i nie każdy to potrafi.

Jadąc w stronę Bytomia, kilka kilometrów za Chorzowem, można zobaczyć olbrzymie gmachy — piękny, przepiękny bieżący wieżowiec „udokorowany wieloma antenami” przypominający wyglądem radiową rozgłośnię — to właśnie CENTRALNA STACJA RATOWNICTWA GÓRNICZEGO. Stąd właśnie, gdy zajdzie potrzeba płyną rozkazy do wszystkich kopalń kraju. Tu przy pomocy najbardziej nowoczesnego sprzętu szkolą się najlepsi specjaliści — ratownicy. Prawda, że ratownictwo nasze, to zawodowe — jest jeszcze stosunkowo młode, ale z dużym dorobkiem. W Ośrodku Badań Lekarskich prowadzi się drobiazgowo wprost badania nie tylko mówiące o przydatności ratowniczych, ich inteligencji, szybkiej orientacji czy refleksu, lecz również prowadzone są badania wszystkich czynników psychicznych składających się na siłę moralną ratownika i trzeba się pochwalić, że polskie ratownictwo górnicze uznawane jest w świecie w dziedzinie organizacji metodyki i wyposażenia za bezkonkurencyjne. Niedługo już czas wyeliminowania śmierci w kopalniach, jeszcze do niedawna budowano tamy z klocków i egieł daleko od źródła ognia, jeszcze do niedawna nie potrafiono zbliżyć się do pożaru. Dziś — te sprawy nie istnieją, w razie katastrofy stosowane są przeróżnego rodzaju materiały syntetyczne, by wywołał stał się coraz mniej groźny dla człowieka węgiel. Były lata, w których przez Francję przewalala się nawałnica katastrof górniczych. Śmierć zbierała obfite plony. W tym właśnie czasie — a jest to rok 1907 — w Bytomiu powstaje pierwsza w Polsce stacja ratownicza. Cztery lata później powstaje stacja w Mikołowie, w Zagłębiu Dąbrowskim, w Jaworznie, w Zabrze, w Wodzisławiu i Tychach. Od 1960 roku polskie ratownictwo podpisało umowę współpracy z górnictwem czeskosłowackim. Na czele — z racji bogactwa tradycji — pieczę nad wszystkimi stacjami górniczymi w kraju sprawuje CENTRALNA STACJA RATOWNICTWA GÓRNICZEGO w Bytomiu.

Znana już dziś nie tylko wśród braci górniczej wszystkich kopalń polskich, lecz głośno o niej w całym świecie. Naukowcy polscy każdego dnia pracują nad jej ulepszeniem, robią wszystko by zatamować śmierć drogę, bo w Polsce ludzie wydobywający czarne złoto są otoczeni wszechstronną opieką i im to w dniu ich święta życzymy jeszcze większych sukcesów tak w życiu osobistym jak i w pracy.

ZDZISŁAW OKUNIEWSKI



Foto: Archiwum



Foto: Archiwum

KWADRANS ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY

Dalszy ciąg ze str. 1

Czemu ja nie gram? Zdrowy i nieszpanowany męczę się na tej cholernej ławce. Spojrzałem na coacha. Palil już trzecie cygaro. Tak jak zawsze wtrącał się do gry, pokrzykiwał, teraz siedział w milczeniu. Może to on?... Ten telefon... rozmowa z Patronem... nagła troska o moje siniaki... Bywa przecież, że Klub bierze pieniądze za samo tylko wycofanie jednego zawodnika, z tym, że umowa między stronami zakłada twardą, bezkompromisową walkę, w której zwycięstwo przypada często, i to wraz z łapówką, przekupionym.

Uczepiłem się tego wariantu. Czulem wściekłość na myśl, że ktoś robi pieniądze, nie odpalając mi nawet złamanego peja. Po chwili zgasiłem tę wściekłość. Coś nie tak... Gdyby chodziło to wyłącznie o mnie, ten gość nie trzymałby już torby na kolanach. Ta torba byłaby już w ręce sekretarza, albo nawet poza stadionem. Może na prawdę ubrałem sobie tę hecę? Albo jeszcze inaczej: może Cygaro puścił się na umowę związaną, to znaczy — wycofując mnie z walki, szepnął także dwa słowa temu czy owemu cwaniakowi, przyrzekając mu judaszową premię?

Znowu skupiłem się na grze. Było już dwadzieścia dziewięć minut po przerwie. Umilkły trąbki i chóralne pienia. Opadły flagi i transparenty. Zero — zero. Część publiczności zaczęła opuszczać stadion, żeby uniknąć tłoku przy bramach. Kopanie towarzyły śmiechy i szysderstwa, ktoś szmajał na boisko butelkę. Dwumetrowy bramkarz Interu popisał się kolejnym wykopem hen! za połowę boiska i wtedy właśnie, wtedy! w trzydziestej pierwszej minucie, zdobyłem lodowatą pewność.

Pilkę przechwycił Pinokio, ale odskoczyła mu od nogi i dostał ją Teter, który jest dobry, fakt! przedrybował dwóch naszych i wrzeszcząc: Iliadzi! — uruchomił Dawida. Dawid miał przed sobą po lewej Jana Forestera, który leciał już przeciąć mu drogę, a po prawej, znacznie bliżej starego Molla, za którym czaił się bramkarz. Był na czystej, ale niełatwej pozycji, jakieś pięć metrów przed linią pola karnego i po krótkim zawahaniu puścił się między obrońców. Z boku nie wyglądało to wcale tak groźnie. Doświadczony, zdecydowany libero z jaką taką szybkością miał w tej sytuacji do wyboru co najmniej trzy wyjścia. Albo, fair, dopaść napastnika i sklinować, wybijając piłkę w byle jakim kierunku, albo, ryzykując rzut wolny, wykonać skok i zatrzymać go rękami: wszystko jedno — za nogi, za ręce, za włosy, albo też, co było najgorsze, licząc na przytomność nadbiegających kolegów, zastopować faceta wślizgiem.

Moll wybrał właśnie wślizg. Zrobił wślizg, który ludziom na trybunach, a może nawet dziennikarzom i fachowcom wydawał się szczytem poświęcenia. Pojechał na lewej nodze i pośladowi po zielonej, wilgotnej jeszcze od deszczu murawie, złościąc butem głęboką bruzdę. Było to niezwykle efektowne, ale Moll był mistrzem efektów. Moll umiał przewrócić się na komendę i zasymulować piekielny ból nogi, żeby wydłubić parę sekund i rzut wolny. Moll umiał złapać się obiema rękami za twarz i biec do sędziego z głośnym wrzaskiem, że to niby został uderzony. Moll umiał płakać, skomleć, faulować bez piłki, gryźć w

tłoku, drapać, kuśtykać, wymiotować, jednym słowem: robić wala z sędziego i ludzi.

Teraz próbował zrobić wala ze mnie! Ten wślizg — jak mówiłem — wyglądał na efektowny odruch rozpacz, na bohaterską szarżę steranego bojami weterana. Ten wślizg był w pierwszej swojej fazie prawidłowy — dynamiczny, zamasyjsty, celnie wymierzony w piłkę, którą Dawid puścił sobie na dobieg. Nogi Dawida były od niej dalej niż lewy, najeżony sześcioma stalowymi karkami but jadącego wślizgiem obrońcy i gdyby tylko Moll lekko ją trącił, nadbiegający Forester zlikwidowałby zagrożenie. Tymczasem Moll przysiadł w ostatniej chwili kolano — drobiaz, którego pewnie nikt nie zauważył, a który sprawił, że jego stopa minęła się o kilka centymetrów z celem, i reszta była już tylko formalnością.

Dawid przedart się na pole karne i nie zwleając palnął w długi róg obok zniechęconego bramkarza. Zaraz też wzniosł triumfalnie ramiona, a koledzy ścisnęli go, całowali, poklepywali, wreszcie przewrócili na trawę niby zgraja wygłodniałych pedałów. Sędzia wskazał na środek. Widownia gwizdała. Moll, bogatszy chyba o parę stów, pozorował wielkie przynęcenie; wysmarkał się w palce i stał przed bramką z opuszczoną głową. Coach wypluł cygaro i zabuźnił, żeby pokazać, jak bardzo — szły.

W pierwszym odruchu chciałem rzucić mu w twarz obelgę, a potem wpaść na boisko i strzelić Towera w zęby. Ktoś nieźle na mnie zarobił. Tylko na to potrzebne są jeszcze dowody. Skąd je wezmę?

Nie czekając na koniec ruszyłem do szatni. Równanie zgadzało się teraz — żółta, skórzana torba znikła z kolan opalonego meczowozu, który spokojnie obserwowal grę, nie przejmując się sporadycznymi rajdami Babinowa, usiłującego sforsować obronę Interu. Bobas rozrabiał. Był w porządku! Uszargany, spocyny, zziłajany, z podkrążonym okiem, wierzył, że można jeszcze coś zmienić. Raz dostał od Krauzego wysoką piłkę i kropnął z pierwszego kozła nad poprzeczką. Widać, jak kosaż go na skrzydle, odruchowo zaciskałem pięści.

Coach krzyknął za mną: — Hej, gdzie idziesz, Maks! Mecz się jeszcze nie skończył! — Odpowiedziałem: — Dla mnie się skończył. — Wówczas wskazał na ławkę i rzucił rozkazujco: — Siadaj! — Zawróciłem. Nachyliłem się i tak, aby nikt nie słyszał syknął mi w ucho: — Odpieprz się, złodzieju! — Patrzyłem jeszcze przez moment w tę chudą, ciemniejącą od gniewu twarz.

KOLACJA

W szatni natknąłem się na Meisnera. Był wielkim patriotą lokalnym i powiedział: — Skandal! — Co: skandal? — Ten mecz — Nie widział pan gorszych? — spytałem.

Dziennikarz potrząsnął głową. Stał przede mną o krok i za różą w butonierze zauważyłem błysk miniaturowego mikrofonu.

— Pan naprawdę jest przetrącony? — bąknął.

— Nie. — Mogł pan grać? — Mogłem. — I chciał pan grać? — Chciałem. — Nie boi się pan, że o tym napiszę? — Pańska rzecz. — Jasne — uśmiechnął się kwaśno. — Tylko, że jutro może pan wszystkim zaprzeczyc.

— Jak mogę zaprzeczyc? — Powiesiłem buty na kolku i zacząłem ściągać dress. — Przecież ma pan mój głos na taśmie...

Zacerwieniłem się. — Tak czy owak, nie chciałbym panu zaszkodzić. — Zerknął na tę różę w butonierce. — Jest pan wzburzony...

— Drobiaz. — Naprawdę mam pisać? — To już pan powinien wiedzieć, nie ja.

Zostawiłem go tak, z rozdziawioną gębą. Poszedłem na parking, wsiadłem do samochodu i służbową drogą ruszyłem do bramy. W dziesięć minut później wjechałem na obwodnicę i wydołałem się z miasta. Weiskając gaz do oporu przejechałem trzydzieści kilometrów. Jeszcze drugie tyle i byłbym w stolicy, ale zląkłem się czegoś i zacząłem wracać.

Szybka jazda uspokoiła mnie, było już grubo po zmierzchu, luna miasta zbliżała się szerokim frontem i wkrótce zostałem przez nią wchłonięty. Zahamowałem pod latarnią. Przekręciłem lusterko; uczesałem się, zapaliłem kolnierzyk i podciągnąłem krawat. Potem wkołowałem na plac hotelowy, zamknąłem wóz i wszedłem do Cristalu. Kupiłem u portiera paczkę Kentów. W jaskrawo oświetlonej, w polowie tylko wypełnionej sali orkiestra grała boogie-woogie, na parkiecie pisała kilka par w wieczorowych strojach. Kelner poprowadził mnie do stolika za filarem.

— Przekro mi, Maks — powiedział. — Znam go i lubię, więc powiedziałem tylko: — W porządku. — Jesteś sam? — Tak. — Usiadłem, odwracając się bokiem do sali. — Te sukinyśny złopią — powiedział. — Inter? — Aha. — Wzerał, to złopia. — Nie powinni wygrać, Maks. — Mnie to mówisz?

Machnąłem ręką, a on był delikatny i nie czepiał się tematu. Podał mi kartę i niezależnie od tego nawijał jak szpitalna siostra dietetyczka: — Cielęcina, nożki, kurczak, sztuka mięsa...

— Nie wyglupiaj się — przerwałem. — Chcę sobie dzisiaj porządnie zaszkodzić.

— Brizol? — Szaszлык. — Z polędwicy? — Z baraniny. — I co do picia? — Piwo. — A potem. — Może być herbatka. — Włać ci kapkę do herbaty? — Więcej.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

W następnym odcinku opowieści Andrzeja Makowieckiego bohater zastanawia się nad tym: Kim jest? A te różni ślania przerywa mu natrętny Jack, który mu proponuje...

U PRZYJACIOŁ

W Moskwie odbył się ostatnio II Wszechzwiązkowy Zjazd Młodych Filmowców.

Na Zjeździe podsumowano osiągnięcia młodych twórców w ciągu ostatnich kilku lat. W okresie tym do radzieckiego filmu przyszło nowe pokolenie. Swoje samodzielne prace zaprezentowało ponad 30 reżyserów. Na wyróżnienie w tym gronie zasługują: Nikołaj Gubienko, Andriej Smirnow, Larysa Szepitko, i Aleksiej German.

W toku dyskusji wskazano na konieczność bardziej niż dotychczas ostrej selekcji przy doborze kandydatów na studia. Ponadto selekcja taka będzie prowadzona także wśród słuchaczy pierwszych lat studiów. Student, który nie będzie wykazywał się odpowiednimi wynikami, zostanie z szkoły usunięty. Natomiast dla słuchaczy wyróżniających się i wyjątkowo uzdolnionych stworzone zostaną jak najlepsze warunki sprzyjające ich twórczemu rozwojowi. Dużą wagę przywiązuje się do studium eksperymentalnego dla absolwentów Instytutu Kinematografii przy wytwórni „Mosfilm”. Kursanci tego studium będą mogli bezpośrednio po uzyskaniu dyplomu ukończenia wyższej uczelni przystępować do pracy w zawodzie reżysera czy operatora.

Duże wymagania stawia się także wobec pedagogów. Jednym z głównych ich zadań w procesie twórczego rozwoju młodego pokolenia jest jak najpełniejsze poszerzanie horyzontów myślowych i ogólnopoznawczych równoległe z pogłębianiem wiedzy ściśle zawodowej.

Wybitny aktor radziecki Michail Uljanow spotkał się ostatnio z młodzieżą artystyczną Moskwy. Na spotkaniu tym wiele mówiło się o szczególnej magii Teatru im. Wachtangowa, z którym Uljanow związany jest od przeszło 20 lat. Powiedział on m.in. że „Wachtangowcy” do których i on ma zaszczyt należeć są ludźmi szczególnego pokroju. Zdarza się jemu i jego kolegom, że od czasu do czasu wysłuchują z innymi kolektywami, że znakomitymi nie raz aktorami, ale w gruncie rzeczy nie do pomysłenia jest, aby ktokolwiek z nich odszedł od „Wachtanga”. Dlaczego tak się dzieje? Otóż nikt by nie uwerzył, ale teatr ten kryje w sobie jakąś wręcz „magiczną siłę”. Uljanow jest głęboko przekonany, że nie mógłby dać z siebie tyle w innym teatrze, nie osiągnąłby tyle, co udaje mu się osiągnąć w tym zespole. Tak więc choć miał różne propozycje, pozostał nadal „wachtangowcem”.

W dalszej części spotkania Uljanow mówił o roli filmu. Stwierdził on, że dla aktora dramatycznego domem rodzinnym jest teatr. Film i kino natomiast to tylko atrakcyjna przygoda. Praca w filmie kryje w sobie pewne określone niebezpieczeństwo. Fragmentaryczność ujęć, akcja posiekana „klapsami”, nakręcanie scen końcowych przed początkowymi — wszystko to nie może sprzyjać przemyśleniu jednolitej koncepcji działań przedstawianej postaci, co więcej — rodzi automatyzm i w końcu obojętność.

Film powstaje z okrucich zwanych kadrami. Kiedy zakończy się montaż, choćby obejrzało się go sto razy — nie nie można już zmienić, nie poprawić. Jakże inaczej jest w teatrze, czasami właśnie w setnym przedstawieniu można trafić na tę jedyną nieodkrytą dotychczas koncepcję kreacyjną. I te właśnie poszukiwania twórcze, które mogą się odbywać tylko w teatrze, wzbogacają i udoskonalają duchowo samego aktora. Zdarza się oczywiście i tak, że głęboko przeżywający i czujący swą rolę aktor dramatyczny potyka się o barierę rutyny. Uljanow powiedział, „od 15 lat gram rolę Rogożina w „Idiole”. Włożyłem w tę postać całego siebie, ale czuję, że nie mógłbym już ustawić jej inaczej, zupełnie od nowa”.

Teatr na Tancanie, jedna z najpopularniejszych scen w Moskwie zapowiada w nowym sezonie artystycznym bardzo ciekawy repertuar. Teatr wystąpi z pięcioma nowymi premierami.

Największe zainteresowanie miłośników teatru wzbudza spektakl poświęcony życiu Mikołaja Gogola. Tekst sztuki napisał kierownik artystyczny zespołu „Na Tancanie” Jurij Lubimow, reżyser, aktor i pisarz w jednej osobie. W swoim scenariuszu wykorzystał on fragmenty utworów Gogola, jego uwagi dotyczące sztuki, a także bogatą literaturę wspomnień poświęconą autorowi „Rewizora”. Równie interesujący temat, który można by w skrócie określić — artysta i społeczeństwo — podejmuje Lubimow w drugiej, przygotowywanej przez siebie, inscenizacji. Będzie to „Mistrz i Malgorzata” wg powieści Michaiła Bułhakowa.

O wystawie Richarda Anuszkiewicza w Muzeum Sztuki w Łodzi.

Richard Anuszkiewicz ur. 1930, Amerykanin polskiego pochodzenia, od początku swej artystycznej kariery, tj. od 1960 roku interesował się problemami abstrakcji geometrycznej, a potem wystąpił „pod sztandarem op-artu”. Studiował sztukę na Uniwersytecie Yale w USA pod kierunkiem ojca op-artu w Ameryce, Josepha Albersa. Albers nauczył go prostoty; pisał, że kiedy maluje —

taneczny, ale nie przypadkowy... Nawet na końcu mam prawo wyboru. Niezależnie od tego, jak dalece związane jest do pracy planowanie, ta właśnie rzeczywistość determinuje obraz... W tym sensie zawsze może wystąpić „szczęśliwy przypadek”.

Możliwość nieograniczonych przekształceń i zmian w obrazach Anuszkiewicza daje współzależność linii i koloru. Mówi: „Kolor prawie zawsze odgrywał podstawową rolę w moich pracach. Właśnie przedstawienie koloru określa formę. Kolor i forma stanowią całość. Nie polega to na nadawaniu koloru formom, schematom geometrycznym. Moje prace charak-

teryzują się barwnym klimatem, barwną atmosferą, sprawiają szczególne wrażenie przez wprowadzanie całych rodzin, grup kolorów”.

Podstawową zasadą jaką kieruje się Anuszkiewicz przy budowaniu swych konstrukcji kolorystycznych jest używanie kolorów dopełniających w dymie słonecznego, np. czerwieni i zieleni, żółtego i fioletu. Umieszczenie obok siebie kolorów dopełniających daje efekty optyczne pulsowania zależnego od kąta spojrzenia i od odległości widza. Pulsowanie to zmienia formy w obrazie, przekształca je, pozwalając jednocześnie widzowi na uczestnictwo w tworzeniu obrazu. Obrazy Anuszkiewicza prezentują wielkie bogactwo i wyrafinowanie kolorów, ich odcieni i wariacji. Co zatem idzie — dynamika, pulsowanie i ruch są ogromnie różnicowane.

Prezentowane w Muzeum Sztuki obrazy i prace graficzne Anuszkiewicza stanowią przegląd od 1966 do 1974 roku. O swojej wczesniej twórczości mówi autor: „Pierwsze obrazy... powstały pod wpływem ekspresjonistowskich abstrakcyjnych. Stosowali oni formy, które jak gdyby poruszały się we wszystkich kierunkach na całej powierzchni płaszczyzny. Można powiedzieć, że ewolucja w moich obrazach polegała na stosowaniu jakby roju form, które dążyły do środka, a w następnym stadium promieniowały z niego w zmienionym układzie regu-

larnych elementów, uporządkowanych w stosunku do całości jak i do jego centrum. Początkowo interesował mnie ruch, później gra układów, których dynamika była wynikiem przede wszystkim wzajemnego oddziaływania kolorów. Wprowadzenie większej ilości barw spowodowało zastosowanie linii”.

Obrazy Anuszkiewicza konstruowane są tak, że na zamalowanym jednolitym tle pojawiają się linie o różnej grubości i kolorach. Te czynniki powodują, że formy, które tworzą, są płaskie lub plastyczne, występują z tła, bądź tworzą jakby

relief wklęsły. Serię obrazów rozpoczynają kompozycje pt. „Geometryczna” z 1966 roku, gdzie czerwony, jednolity kwadrat w centrum obrazu uwydatniony jest i opięty niebieskimi i zielonymi liniami tworzącymi wokół płaskiej formy ruchliwy, zmienny układ. Szczególną cechą tego obrazu jest jego „domknięcie” wokół klucza, jaki stanowi czerwony kwadrat. Zdarza się bowiem nierzadko, że obraz, np. „Delikatne widma” z 1969 r., podzielony jest na 36 kwadratów wypełnionych liniami budującymi coraz mniejsze kwadraty — może więc jakby rozrastać się. Obraz ten przez swoje wyjątkowo delikatne kolorystyczne przejścia (uzyskane przeciętą tylko liniami) rozświeca się niezwykle blaskiem zależnym oczywiście także od pozycji widza. Podobne światło nasyca „Przesilenie zimowe” (1970 r.), „Związek czterech zamkniętych” (1970 r.) i inne. W tym miejscu wypada zwrócić uwagę na „naprowadzające” poetyckie tytuły obrazów Anuszkiewicza, np.: „Zielony cień portalu” 1972 r., „Ukryty szary cień” 1971 r., „Czerwienie zimy i lata” 1973 r., „Prostokąt zielono-błękitny — noc” 1972 r. Liczną grupę stanowią kompozycje, w których zasadniczym elementem jest jakby „brama” z uciekającą perspektywą w układach pojedynczych, podwójnych, nawet sześciokrotnych, zawsze o odmiennym wyrazie kolorystycznym linii, który zmienia ich

głębokość, wysokość, nadaje światło, cień, wibrację gwałtowną lub łagodną, czasem ekstatyczną. Obrazy pochodzące z ostatnich dwóch lat mają tytuły „techniczne” — „Tonowanie krawędzi żółto-zielonego”, „Tonowanie krawędzi pomarańczowego” — i są to gładkie, jednolite powierzchnie ujęte szeregami cienkich kresek, których rytm i kolor decydują o wymowie kolorystycznej obrazu. Obrazy Richarda Anuszkiewicza zadziwiają precyzją wykonania, adekwatnością środków do pomysłu, poczuciem odpowiedzialności.

Nielatwo ująć w słowa rozgrywane się na oczach widza i za jego częściową sprawą obrazy. Rozgrywane się — bo jednym porównaniem, jakie można zastosować do sztuki Anuszkiewicza, jest muzyka. W jej kategoriach postaramy się wnikać w rytmy, gamy, fugi, fale, kontrpunkty tak koloru, jak i formy. Chcąc zrozumieć dzieło Anuszkiewicza musimy utonąć w samej istocie obrazu czy zespołu obrazów, tak jak dzieje się to na koncercie słuchając muzyki. I podobnie jak na koncercie uczynić to zupełnie bezinteresownie.

Obrazy Anuszkiewicza znajdują się bowiem w wielkiej rodzinie sztuki XX wieku, w której dzieło stworzone przez artystę żyje własnym, niezależnym od potocznej rzeczywistości życiem. Tworzy, posłuszne artyście, własną rzeczywistość. „Optyczne” obrazy Anuszkiewicza nie tworzą uniwersalnych systemów, nie penetrują istoty budowy świata — jak dzieje się to np. w dziele wielkiego holenderskiego artysty Pieta Mondriana (choć niekiedy zdają się do niego być czysto formalnie podobne — zwłaszcza w odniesieniu do amerykańskiego okresu pracy Mondriana). Obrazy Anuszkiewicza skierowane są do wrażliwego oka widza. Poetyka ich jest poetyką koloru, światła, ruchu fizycznie odczuwanego przez obserwatora, charakterystyczna dla „op-artu”.

Oddziaływanie obrazów Anuszkiewicza wynika z ich logiki i konsekwencji, doskonałego przystosowania do zamierzeń, niejako klasycznej skłonności. Niekiedy dzieje się tak wtedy, gdy jakiś etap twórczości artysty (Anuszkiewicz jest przecież w pełni sił twórczych) przypada na czas, kiedy dopełnia się styl, który reprezentuje.

JANINA ŁADNOWSKA

MUZYKA UWIEZIONA

nie zastanawia się czy to będzie obraz abstrakcyjny, czy ekspresyjny, nie myśli w ogóle o żadnym „zmianie”, ani o mijającej modzie. Celem jest sztuka, forma wieloznaczna i różnorodna, wolna od indywidualizmu i egzaltacji. Albers nauczył go także myśleć kolorem. Pisał, że kiedy maluje — myśli i widzi kolor jako ruch; kolor nie tylko towarzyszy formom, lecz porusza je i zatrzymuje. Ten stały, wewnętrzny ruch atakuje widza i jest przez widza atakowany, jest między widzem a formą, barwną i światłem; czuje się oddech i pulsowanie koloru.

Anuszkiewicz w swych obrazach operuje bardzo ograniczoną ilością prostych form geometrycznych. O budowie jego obrazów decyduje linia — pionowa, pozioma, diagonalna, o różnej grubości; ona wykreśla kwadraty, prostokąty i trójkąty. Ta prostota i powtarzalność elementów zbliża Anuszkiewicza do architektów tych epok, które na bazie struktur pozornie nieskomplikowanych i elementów powtarzających się tworzyły budowle ciągle inne i doskonalsze. Mówi autor: „Technika mojej pracy jest prawie architektoniczna. Konstruuje jak gdyby od podstaw w górę. Mam jakąś koncepcję, ale w miarę jak obraz się rozwija, w ciągu całego tego procesu dokonuję wyboru, dzieło rozwija się w kategoriach tego wyboru, który jest często spon-

teryzują się barwnym klimatem, barwną atmosferą, sprawiają szczególne wrażenie przez wprowadzanie całych rodzin, grup kolorów”.

Podstawową zasadą jaką kieruje się Anuszkiewicz przy budowaniu swych konstrukcji kolorystycznych jest używanie kolorów dopełniających w dymie słonecznego, np. czerwieni i zieleni, żółtego i fioletu. Umieszczenie obok siebie kolorów dopełniających daje efekty optyczne pulsowania zależnego od kąta spojrzenia i od odległości widza. Pulsowanie to zmienia formy w obrazie, przekształca je, pozwalając jednocześnie widzowi na uczestnictwo w tworzeniu obrazu. Obrazy Anuszkiewicza prezentują wielkie bogactwo i wyrafinowanie kolorów, ich odcieni i wariacji. Co zatem idzie — dynamika, pulsowanie i ruch są ogromnie różnicowane.

Prezentowane w Muzeum Sztuki obrazy i prace graficzne Anuszkiewicza stanowią przegląd od 1966 do 1974 roku. O swojej wczesniej twórczości mówi autor: „Pierwsze obrazy... powstały pod wpływem ekspresjonistowskich abstrakcyjnych. Stosowali oni formy, które jak gdyby poruszały się we wszystkich kierunkach na całej powierzchni płaszczyzny. Można powiedzieć, że ewolucja w moich obrazach polegała na stosowaniu jakby roju form, które dążyły do środka, a w następnym stadium promieniowały z niego w zmienionym układzie regu-

wyły swe koncepcje. Teraz więc chodzi o to, aby zgłoszonym inicjatywom nadać konkretny charakter. Toczącym się na ten temat rokowaniom i dyskusjom wychodzi naprzeciw nowa propozycja państw — strona Układu Warszawskiego: ZAWARCIA PRZEZ WSZYSTKIE PAŃSTWA, KTÓRYCH PRZEDSTAWICIELE ZŁOŻYLI PODPISY POD AKTEM KONCOWYM KONFERENCJI W HELSINKACH, UKŁADU ZOBOWIĄZUJĄCEGO, ŻE JAKO PIERWSZE NIE UŻYJĄ ONE BRONI JĄDROWEJ PRZECIW SOBIE. Tak więc pakiet naszych propozycji wzbogacony został o nową, niezmiernie istotną. Zawarcie takiego porozumienia wzmocniłoby znacznie poczucie bezpieczeństwa narodów na europejskim kontynencie.

Za konieczne uważamy ponadto osiągnięcie międzynarodowego porozumienia o zakazie i zniszczeniu broni chemicznej oraz zakazie tworzenia nowych rodzajów i systemów broni masowej zagłady. Przywiązujemy dużą wagę do zawarcia porozumień o redukcji sił zbrojnych i zbrojeń konwencjonalnych, do likwidacji baz wojskowych na obcych terytoriach, tworzenia stref pokoju i redukcji budżetów wojskowych. Istotne znaczenie może mieć również rozpatrywany obecnie przez ONZ projekt układu o niestosowaniu siły w stosunkach międzynarodowych.

Uczestnicy narady bukareszteńskiej potwierdzili gotowość rozwiązania organizacji Układu Warszawskiego równocześnie z rozwiązaniem organizacji Paktu Północnoatlantyckiego, w pierwszej zaś kolejności organizacji wojskowych. Przewyciężenie podziału świata na przeciwstawne bloki wojskowe sprzyjałoby osiągnięciu gruntownej normalizacji stosunków międzynarodowych.

■ GŁOS WSPÓLNOTY SOCJALISTYCZNEJ Z BUKARESZTU

■ NOWE PERSPEKTYWY ODPRĘŻENIA I POKOJU

Posiedzenie Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego jest zawsze największym wydarzeniem. I to nie tylko dla wspólnoty socjalistycznej. Jej zagraniczna polityka toruje przecież drogę trwałemu pokojowi na świecie. Dlatego kolejne posiedzenie Komitetu, tym razem w Bukareszcie, spotkało się z ogromnym zainteresowaniem. Uzasadnia je dodatkowo fakt, że uczestnicy narady przyjęli deklarację „O nowe perspektywy odprężenia międzynarodowego, o umocnienie bezpieczeństwa i rozwój współpracy w Europie” oraz wysunęli projekt układu między państwami — sygnatariuszami Aktu Końcowego KBWE. Powzieli ponadto decyzję organizacyjną: powołania Komitetu Ministrów Spraw Zagranicznych i Zjednoczonego Sekretariatu.

Deklaracja Państw — Stron Układu Warszawskiego nawiązuje przede wszystkim do konferencji w Helsinkach i jej Aktu Końcowego. Stanowi on bowiem szeroką, konkretną płaszczyznę dalszego umacniania pokoju. Sygnatariusze porozumienia podjęli przecież zobowiązanie, że będą układać swoje stosunki międzynarodowe wyłącznie na zasadach pokojowych. Czas, jaki minął od Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, potwierdza konstruktywny charakter jej wyników. „Generalnie — czytamy w Deklaracji — atmosfera polityczna w Europie coraz

bardziej uwalnia się od pozostałości i przeżytków zimnej wojny”. Ale jest również prawda, że sprawa pokoju napotyka trudności. Siły militarystyczne, reakcji i odwetu nie złożyły broni. Dążą do sytuacji konfliktowych, forsują wyścig zbrojeń, starają się naruszyć suwerenność państw europejskich, kwestionują celowość dalszego odprężenia w stosunkach międzynarodowych... To właśnie pod ich wpływem próbuje się wypaczać literę i ducha helsińskich porozumień. Niedopuszczanie do takich faktów, zapewnienie nieodwracalnego charakteru procesowi odprężenia — wymaga działań w duchu uzgodnionych w Helsinkach zasad.

Najbardziej pilnym zadaniem współczesności jest zahamowanie wyścigu zbrojeń i dokonanie rozbrojenia, w pierwszej kolejności jądrowego, oraz wyeliminowanie groźby wojny światowej.

„Państwa nasze — czytamy w Deklaracji — są zdecydowanymi przeciwnikami wyścigu zbrojeń i deklarują swe pragnienie oraz gotowość aktywnej i konstruktywnej współpracy ze wszystkimi państwami nad rozwiązaniem tego ważnego, stojącego przed ludzkością zadania”.

Wspólnota socjalistyczna, a również komunistyczna całej Europy na naradzie partii w Berlinie, wysunęli szeroki wachlarz problemów walki o rozbrojenie. Także inne państwa przedsta-

wyły swe koncepcje. Teraz więc chodzi o to, aby zgłoszonym inicjatywom nadać konkretny charakter. Toczącym się na ten temat rokowaniom i dyskusjom wychodzi naprzeciw nowa propozycja państw — strona Układu Warszawskiego: ZAWARCIA PRZEZ WSZYSTKIE PAŃSTWA, KTÓRYCH PRZEDSTAWICIELE ZŁOŻYLI PODPISY POD AKTEM KONCOWYM KONFERENCJI W HELSINKACH, UKŁADU ZOBOWIĄZUJĄCEGO, ŻE JAKO PIERWSZE NIE UŻYJĄ ONE BRONI JĄDROWEJ PRZECIW SOBIE. Tak więc pakiet naszych propozycji wzbogacony został o nową, niezmiernie istotną. Zawarcie takiego porozumienia wzmocniłoby znacznie poczucie bezpieczeństwa narodów na europejskim kontynencie.

Za konieczne uważamy ponadto osiągnięcie międzynarodowego porozumienia o zakazie i zniszczeniu broni chemicznej oraz zakazie tworzenia nowych rodzajów i systemów broni masowej zagłady. Przywiązujemy dużą wagę do zawarcia porozumień o redukcji sił zbrojnych i zbrojeń konwencjonalnych, do likwidacji baz wojskowych na obcych terytoriach, tworzenia stref pokoju i redukcji budżetów wojskowych. Istotne znaczenie może mieć również rozpatrywany obecnie przez ONZ projekt układu o niestosowaniu siły w stosunkach międzynarodowych.

Uczestnicy narady bukareszteńskiej potwierdzili gotowość rozwiązania organizacji Układu Warszawskiego równocześnie z rozwiązaniem organizacji Paktu Północnoatlantyckiego, w pierwszej zaś kolejności organizacji wojskowych. Przewyciężenie podziału świata na przeciwstawne bloki wojskowe sprzyjałoby osiągnięciu gruntownej normalizacji stosunków międzynarodowych.

Droga do ustabilizowanego pokoju na naszym kontynencie prowadzi również przez rozszerzenie współpracy wszystkich państw. Choćby poziom tej współpracy na polu gospodarczym jest obecnie wyższy niż kiedykolwiek — nie wykorzystuje się jeszcze wszystkich możliwości. Wciąż istnieją sztuczne przeszkody i nierówności. Uznane w Helsinkach za celowe stosowanie w handlu klauzuli największego uprzywilejowania powinno być powszechną praktyką.

Słowa Deklaracji, że „wiele można zrobić przy dobrej woli i stosowaniu zasady równości” odnoszą się w pełni i do współpracy gospodarczej.

Delegacje siedmiu partii i rządów, obradujące w Bukareszcie, dokonały wymiany poglądów także na inne problemy międzynarodowe, wyrażając swe wspólne stanowisko.



Każda narada Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego przynosi nowe propozycje pokojowe. Przypomnijmy deklarację bukareszteńską z 1966 roku, apel budapeszteński z 1969, oświadczenie berlińskie z 1970 r., deklarację praską z 1972 r. i komunikat warszawski z 1974 r. Każdy z tych dokumentów torował drogę korzystnym przemianom w stosunkach międzynarodowych. Najnowsza deklaracja wysuwa nowe inicjatywy, jeszcze bardziej przybliżające wizję świata bez wojen.

W. ŚLAWSKI

SPORT

PIERWSZY
ŚNIEG

Pierwszy śnieg nigdy nie leży długo. Tak było i tym razem, ale to wcale nie przeszkodziło, że pierwszy śnieg spowodował wiele zamieszania. Przed wszystkim spotkania jednej osmei Pucharu Polski w pilce nożnej odbyły się — jak to określił sprawozdawca — w zimowej scenarii. Na mój gust bardziej tu jednak chodziło o warunki niż o scenariusz. A to były fatalne.

Jeszcze w ubiegłą sobotę i niedzielę na niektórych boiskach widać było kupy śniegu poza linią autowa. Zimą na ten rok zapowiada się ostra, o czym od dawna piszą niektóre gazety i o czym opowiadają różni ludowi bazarze, którzy zajmują się między innymi przepowiadaniem pogody. Trudno więc zimy nie spodziewać się pod koniec listopada i na początku grudnia. Trudno udawać, że zima nas znów zaskoczyła. A jednak.

W „Wieczorze z dziennikiem” Telewizji Polskiej oglądałam „sprawozdanie” z tego, jak warszawskie służby komunalne zaskoczyła ledwie zapowiedź zimy. Co będzie, kiedy przyjdą prawdziwe zamiecie? Jest to pytanie pozornie mało mające wspólnego ze sportem. W działalności gospodarki komunalnej przyzwyczajaliśmy się już do tego, że zwykle na przełomie roku kończącego się i roku rozpoczynającego się służby komunalne są zaskakiwane. Jest to — można zaryzykować — prawo ich działania. Są zaskakiwane albo tym, że spadł śnieg, albo tym, że nie spadł. Bez zaskoczenia nie ma życia. Do tej pory wydawało mi się, że tylko dla ludzi powołanych do oczyszczania miast, wsi i dróg publicznych ze śniegu i lodu. Ale nie podobno.

Dowiedziałam się niedawno, acz bez zaskoczenia, że zima zaskoczyła też ludzi, którzy zdawali się powinni być do tego jak najbardziej przygotowani, jako że odpowiadają za sporty zimowe i w tej dziedzinie sportu ponoszą działania. Po słynnym laniu w Innsbrucku wiele pisało się i mówiło u nas o upadku sportów zimowych. Wydawało się, że wstrząs innsbrucki był dostatecznie silny, i że przyczyni się do poważnych zmian. Wszystko wydaje się jednak wskazywać na to, że jest inaczej.

Po słynnym laniu w Innsbrucku odbyło się kilka zebrań, narad, ocen, zbierały się komisje, zarządy, radono i obradowano, jak to zwykle u nas. Rzekę słów uznano za dostateczną. I wszystko wróciło do normy, czyli do stanu sprzed innsbruckiej klęski. Nadal się zresztą dyskutuje, spiera, choć zimą już i trzeba byłoby już wyjść na śnieg dostatecznie przynajmniej przego-

townym. Jak słyszałam w „Sportowcu” Jerzy Iwaszkiewicz trwał nieustający spór między Polskim Związkiem Narciarskim a Polską Federacją Sportu na temat — wiele istotny — jak trenować. PZN uważa, że sportowców trzeba przygotowywać na zgrupowaniach centralnych i okręgowych, jako że kluby nie są w stanie zapewnić nowoczesnego treningu, a PFS jest zdania, że wysilek szkolenia powinny wiać na siebie kluby. Rezultaty tego są takie, że na przykład szkolące narciarską AZS utrzymuje... naczelnik Zakopanego, a inną szkołę narciarską... Ministerstwo Oświaty i Wychowania. W tymże Zakopanem — które kiedyś mianowano zimową stolicą Polski — Okręgowy Związek Narciarski angażuje z kadry trenerów odnawia co miesiąc.

Rzecz oczywista nie tylko w pieniądzu. Skoro jednak nie ma przesady PZN, nie ma koncepcji szkolenia zawodników, nie ma środków na pracę i rozwój klubów, to nie ma w ogóle o czym dyskutować, tylko trzeba gwałtownie wziąć się do pracy, aby uratować to, co jeszcze jest do uratowania i aby sporty zimowe wynieść na jakii taki przyzwoity poziom. A jest to praca gigantyczna, zważywszy, że postulat PZN, aby kadry skoczków podwoił został odłożony do akt, a narciarski biegaczki nie mają trenera. Postanowiono więc je trenować razem z biegaczami, co — jak twierdzi Jerzy Iwaszkiewicz — może biegaczom nawet wyjść na dobre, ale biegaczom narciarskim — raczej nie.

W takiej sytuacji wcale się nie zdziwił, jak znów pojawił się jakiś Włodzisław Fortuna, któremu uda się niespodziewanie coś ponad miarę i wszyscy zaczęli zachłystywać niebawym sukcesem, za którym nie się nie kryje i który z niego nie wynika. Ale — jak pisał J. Iwaszkiewicz — „Włodzisław Fortuna trenuje bardzo pilnie i ma szansę zakwa- lifikować się do ścisłej kadry”. To tylko dobrze o nim świadczy. Wcale to jednak nie rehabilituje ludzi, którzy zechcieli ponosić odpowiedzialność za sporty zimowe, a przynajmniej za narciarstwo.

W czasie olimpiady w Montrealu ludzie rozpadali zaczęli już myśleć o następnej, którą odbędzie się w Moskwie. I myśleli właściwie. W Innsbrucku trzeba było zacząć myśleć, jak wyprawa wadzi sporty zimowe z impasem. I wydawało się, że tak się stanie. Ale oto znów nadchodzi zima i wszystko nadal pozostaje w impasie. Doszło nawet do tego, że za treningi zjazdowców wziął się zupełnie społecznie Andrzej Bachle- da. Jednakże — jak pisał J. Iwaszkiewicz — „kiedy przyszło do wyjazdu na trening na lodowcu Andrzeja Bachlede... skreślono z listy...”. Dobrze mu tak, po co pcha się tam, gdzie go nie potrze- bują.

Zima jest po to — jak się okazuje — aby zaskakiwała nie tylko pracowników gospodarki komunalnej, ale i działaczy zajmujących się sportami zimowymi.

BOGDA MADEJ

POWIEŚĆ W ODCINKACH

(1)

HENRYK DEDERKO, ur. w 1944 r. jest absolwentem psychologii UJ oraz wydziału reżyserskiego PWSTFiT w Łodzi, którą ukończył w 1975 roku.

Nowela filmowa (6 odcinków), adaptowana dla potrzeb naszego pisma, będzie realizowana w Zespole Filmowym „Profil”.

Ciemnym korytarzem restauracji „Śródmiejska” idzie młoda dziewczyna. Ma zacietą twarz, energiczny krok, założone do tyłu ręce. Kelnerki martwieją, zatrzymując się w biegu z tacami, czekając biernie. Zwiastunka złych nowin nie spieszy się. Syty się niepewnością koleżanek. Niektóre nadrabiają miną, żeby dodać sobie otuchy, większość jednak drży, rozlewając zupę na tacach.

Przed twarzami kelnerek pojawia się ręka z wyciągniętym palcem wskazującym. Jeszcze nie pokazuje nikogo konkretnie. Przesuwa się powoli, aż wreszcie zatrzymuje się pokazując jedną z nich. Wskazana blednie. Jej koleżanki oddychają z ulgą i ruszają na salę i do kuchni. Palec pokazał korytarz. Kelnerka idzie na uginających się nogach. Gdy dociera do drzwi z napisem „Kierownik”, wstrzymuje oddech i puka. Cisza. Dziewczyna czeka, nie odważając się zapukać po raz drugi.

Widać stąd salę konsumpcyjną. Przy niektórych stolikach siedzą goście, których nie powstydziłby się lokal stołeczny. Ale tu obok trafia się waciaki, drelle, podkoszulki. Choć przekrój społeczny konsumentów jest dość urozmaicony, to ich stosunek do kelnerek jest podobny. Wdług się do personelu, schlebają mu, starają się pozyskać jego względy. Obsługa nie reaguje na pochlebstwa, sprawiedliwie ignoruje wszystkich, nie dopuszczając do skrócenia dystansu.

„Proszę” — odzywa się głos za drzwiami. Kelnerka wchodzi. Kierowniczka liniuje papier. Nad jej głową wiszą dyplomy uznania, proporzycy, „Srebrna Patelnia”. Dziewczyna mówi „dzień dobry”. Kierowniczka nie odpowiada. Rubrykuje. Kładzie na zeszycie ołówek, przyciska go palcem i wykostytując go jako linijkę, rysuje długopisem rubryki. W biurze jest cicho. Rubrykowanie wymaga wielkiego skupienia. W kącie pokoju siedzi pani Ola, prawa ręka kierowniczką. To ona przed chwilą wezwała kelnerkę. Teraz zaniechała przekładania paragonów ze szpikulca na szpikulec i z napięciem śledzi rubrykowanie. Udało się. Ostatnia kreska wyszła równa i pewna. Kierowniczka z ulgą odkłada przybory, patrzy na białe wglębienie, które zrobiło się jej na palcu, potem przenosi oczy na dziewczynę.

— Powiedz mi dziecko — pyta — czy widzisz jakieś podobieństwo między sobą a koleżankami?

— Czy jestem taka sama? Jestem.

— Nie ma żadnej różnicy? — dziwi się kierowniczka.

— Skąd?

— To dobrze, czy źle?

— Dobrze.

— Dobrze?

— No tak.

— To dobrze, że człowiek nie odróżnia się od innych, że jest taki sam, jak wszyscy?

— Pewnie.

— To znaczy, że ja jestem taką samą kierowniczką, jak wszystkie?

— Tak.

— Tak?

Kelnerka rozgląda się bezradnie. Pani Ola kręci głową, dając do zrozumienia, że wypada tu zaprzeczyć.

— Nie — zmienia zdanie dziewczyna.

— Jest lepsza — bąka dziewczyna.

— Całym zdaniem.

— Pani kierowniczka jest lepsza od innych kierowniczek.

— A kelnerki mamy dobre?

— Dobre.

— Tak?

— Niedobre.

— A ty jesteś dobra?

Mileczenie. Kierowniczka i pani Ola uśmiechają się z politowaniem.

— To wiesz, co masz zrobić? — pyta kierowniczka.

— Nie! — wrzeszczy dziewczyna i wybiega z placem.

— Skocz no po nią — poleca Oli kierowniczka.

Ola przyprowadza chlipiącą dziewczynę. Tusz rozmazany. W zaciśniętych palcach kępki włosów, które wyrwała sobie z głowy.

— Nie skończyłam z tobą rozmawiać mówi surowo kierowniczka. — Tu nie jest przyjęte, żeby podwładny pierwszy wychodził. Ze świniami się chowałaś, czy z ludźmi?

— Z ludźmi.

— Lubisz ludzi?

Kelnerka głupieje do reszty. Patrzy na panią Olę, żebrzącą podpowiedzi. Ta kiwa głową.

— Lubie.

Pani kierowniczka i Ola roześmiał się.

— To bardzo dobrze. To pójdziesz do ludzi.

— Ja już nie będę — płacze dziewczyna — To ostatni raz.

— Co ostatni raz?

— Nie — denerwuje się kelnerka i znów chce wybiec.

— Wróć, gdzie leciś? Nie siadaj. Nie zapraszałam cię, żebyś siadła — Kierowniczka patrzy deptrymując, po czym mówi:

— Więc zrobisz, co każe.

— Niech mi pani nie każe! — beczy dziewczyna.

Kierowniczka i Ola patrzą po sobie, wzruszając ramionami i gapią się na kelnerkę jak na idiotkę. Kierownic-

kiego personelu. W drugim łwar-tale pani kierowniczka nosi się z myślą, aby zatrudnić rencistę. Pani kierowniczka dostanie „Srebrną Patelnię” bez zmiany jadłospisu. To chyba jest wyróżnienie?

— Poważnie?

— Zawsze dostaje. W domu jajka na tym smaży.

Tu nie jest wygodnie rozmawiać, więc Ola wciąga Romę do pralni. Przed rokiem, po występie cygańskiego zespołu kelnerki powybięrały sobie „pseuda”. Dziewczyna zmieniła sobie imię na „Roma”.

— Musisz oddać mi halke — domaga się Ola

— Coś ty, tak nagle...

— W mojej nie pójdziesz. Będzie podarta, popalona papierosami. Koronki

Julka znów stoi. Nie daje się zbyt niechętnym spojrzoniom. — Jesteś wolna — mówi Ola po wyjściu z pralni — Masz dwa dni i o listę obecności się nie martw. Uważaj. Znasz tych ludzi tylko z knajpy. W domu są zupełnie inni. W domu jesteśmy najgorsi...

*

W miasteczku jest tylko jedna budka telefoniczna. Roma wykreca numer. Zmieniła się bardzo. Poznał ją jako nieforemną wiejską dziwuchę z włosiem potarganym, popalonym perhydrole, zdegenerowanym trwałą ondulacją wykonaną sposobem chałupniczym. Lubowała się w ostrych zestawieniach czerwieni i zieleni i w siatkowych północach w liszajowaty wzorek. Teraz ubrana na szaro i beżowo, z fryzurą zdławioną lakierem, w makijażu uspokojonym i stonowanym, mówi do słuchawki:

— Jak robisz? Na nockę?

Ktoś po drugiej stronie zawile wyjaśnia prostą rzecz. Ze na nockę a miał w dzień. Wdaje się w jakieś komplikacje zastępstw, problemy odrobku, wolnych sobót, chorobowego, bumelki oraz urlopu. W końcu okazuje się to, co się miało okazać. Ze na nockę.

— A czym jeździsz? Swoim?

Potok relatywizmów. Nysa stuknięta, zaopatrzenie nie kupiło błotnika, lublin na elektrowni, wola u zmiennika, robi teraz syrenę na fuchę, ale nie zdąży, więc swoim.

— No to przyjeżdż.

Miał odespać, bo robi na nockę. Ale jak robi syrenę, to nie odespi. Powinien jeździć od rana, ale jeśli będzie ładować trzydziści ton żwiru zamiast osiemnaście, to od czwartej do siódmej odespi w robotcie.

— Czekam pod klubem „Gwarek” na lawce — mówi znużona Roma i wiesza słuchawkę.

Taki tu zwyczaj, że nawet przed nowoczesnymi willami umieszcza się ławeczki, w dialektie miejscowym „przyby”. Zazwyczaj bezruchu tu byle gapią się na siedzącą przed klubem Romę z umiarkowanym zainteresowaniem.

Nadjeżdża kolumna żółtych ciężarówek. Gnąją przez miasteczko osiemdziesiątka, wzniciągając tumany białego kurzu. Ławeczki przed domami pustoszą. Inwigilacja rzeczywistości przenosi się za szyby. Ostatnia z ciężarówek zatrzymuje się przed Romą. Jest to trzydziestotonowy steyr. Za kierownicą siedzi coś bladego, niewyspanego, stworzenie z pogranicza obu pici. Roma wdrapuje się do szoferki i traktując kierowcę jak powietrze, zleca:

— Pod dom kultury, na świetlicę.

*

„Jestem starszą osobą i wiele już w życiu przeszedłam. Dużo podróżuję i jestem przyzwyczajona do niewygód i kłopotów jedzenia. To, co mnie spotkało w trzydziści lat po wojnie, w środku Europy, w tutejszej restauracji, przekracza granice wszelkiej tolerancji. Zupa zimna, kelnerki spokojne, roje much. Kelnerka nr 8 miała spódnice tak krótką, że było widać wszelką nieprzyzwołość. Na zwroconą jej uwagę, pod pozorem poprawienia obrusa, wypięła się na mnie nie pierwszą czystości majtkami. Proszę o pouczenie pracowniczki, żeby nosiła dłuższe sukienki lub przybrała wykwintniejsze manery. Zdać sobie sprawę, że pisanie tej uwagi nie ma najmniejszego sensu i że powinienam tę sprawę załatwić zupełnie inaczej.

Lidia Buszkowa, prelegentka TWP w miejscu, ul. Kościuszki 9

Roma dopada Buszkową w rekwizytorni obok sceny. W tym składzie złożono zużyte mównice, blokowe jednoliki i płatki, stare transparenty i skrzynki po napojach. Zgromadzone tu również ogromną ilość starych kotar, tak że wspomniane rekwizyty wystają spod płaszczyzn materii. Pomieszczenie oświetla odrutowana żarówka. Magazyn jest trochę podobny do pralni, w której odbyła się poprzednia rozmowa. Słychać tu odgłosy toczącej się obok imprezy. Za ścianą nie milną brawa. Buszkowa wezwana przez inspicjenta idzie pokłonić się publiczności. Wracając wyjmując ze skrzynki butelkę „Pepsi” i pije łapczywie.

— Jest taka sprawa, że proszę pani o wycofanie tej skargi — mówi Roma. Prelegentka patrzy na nią oślepiała i czyta swoje zażalenie.

A cóż sprawiło, że panienka była wtedy nie w humorze? — pyta po chwili.

— W zasadzie humor był u mnie normalny. Czasem ktoś sądzi, że my jesteśmy zdenerwowane, a my sobie z koleżankami normalnie rozmawiamy. U nas jest ostro. Cicho to można na spowiedzi, ale nie w pracy.

— Patologia społeczna. Trzeba by was po prostu zbadać.

— Cały personel był badany.

— Na Wasermana?

— Nie, na głowę. Na Wasermana byłym badane w miesiącu marcu. Bała nas pani psycholog. Każda była pytana osobno, a potem wszystkie piśmienne kelnerki wypełniały test.

— I co powiedziała pani psycholog?

(c.d.n.)

HENRYK DEDERKO
WYCOF

Rys. Janusz Szymański-Glanc

ka uśmiecha się i mówi:

— Możesz usiąść.

Kelnerka patrzy z wdzięcznością. Siada.

— Nie gniewasz się chyba, że mówię do ciebie „ty” — mówi życzliwie kierowniczka — Są ludzie, którym zawsze mówię „ty”. Podliczyliśmy cię z panią Olą. Jest na ciebie dziewięć zażeń.

— To o to chodzi? — pyta ucieszona

— A tyś co myślała?

— Dziewięć?

— Dziecko, przyjeżdża kontrolować

Mozolowski z województwa. Wiadomo, co to za człowiek. Nie jest zły ale wiadomo, co to za człowiek.

— Ja ich znam! — śmieje się kelnerka.

— No, no.

Kierowniczka otwiera szufladę, wyjmując książkę zażeń.

— Masz na to dwa dni. Żeby mi tu ani jednego wpisu nie było. Żebyś chociaż sześć wycofała...

Z kaszki wyjęła pięć tysięcy.

— Niekieśgowane — objaśnia i przysuwa dziewczynie pieniądze. Zastanawia się chwilę, zagląda do książki zażeń.

— Szttygar zmianowy — wzdycha i sięga po forebkę. Ola uśmiecha się lekceważąco.

— Śmieję się, śmieję. Ten literat już trzeci raz się wpisał. Masz jeszcze

trzysta. Moje własne. Pani Oli, niech pani nie dodaje swoich. Starczy.

Kelnerce spada kamień z serca. Bierze książkę zażeń, pieniądze, całuje kierowniczkę w rękę i uradowana wybiega.

Na korytarzu dogania ją pani Ola.

— Czemuś ty głupia na początku nie chciała?

— Myślałam, że pani kierowniczka będzie bić.

— Coś ty — mówi nieszczerze pani Ola — Pani kierowniczka nikogo by nie uderzyła. Niemożliwe, żeby pani

kierowniczka uderzyła kogoś w twarz. Pani kierowniczka jest bardzo silna, ale nigdy nie przyszkolby jej do głowy, żeby wciągnąć się pracownicze we włosy. Nie do pomyślenia, żeby pani

kierowniczka pracowniczkę... interweniowała. Pani kierowniczka jest bardzo koleżeńska i filantropijna dla



WYZWANIE

Na tomik „Wyzwanie”, wydany w Serii Prozy Iberoamerykańskiej, składają się sześć opowiadań, których autorem jest Mario Vargas Llosa. Ten wybitny peruwiański prozaik i esejista, przedstawiciel tzw. „boomu” literatury południowoamerykańskiej, znany jest również polskiemu czytelnikowi z przekładów utworów, które „obiegły” cały kulturalny świat. Przypomnijmy, że w 1963 roku ukazała się polska edycja „Młazza i pów”, później wydano jeszcze „Zielony dom”, „Szczerzy” i „Katedrę”. I tyle, jeśli chodzi o krótkie przypomnienie twórczości pisarza, twórczości, której początek mamy akurat okazję poznać. Opowiadania zawarte w tomiku „Wyzwanie” były bowiem debiutem Mario Vargas Llosy. Ukazały się one w roku 1958.

Mario Vargas Llosa „Wyzwanie”, przełożył A. Nowak, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, str. 85, cena zł 13.

DIALOG LUSTRA

„Nie byłbym w stanie napisać niczego, co nie byłoby całkowicie oparte na doświadczeniach osobistych” — stwierdził Gabriel García Márquez, autor powieści „Sto lat samotności”. Powieściowe miasto Macondo to odzwierciedlenie miasta, w którym pisarz spędził swoje dzieciństwo. Dom opisany w „Sto latach samotności” to ten sam dom rodzinny, przy którego sprzedaży asystował piętnastoletni wówczas Márquez. Sprzedaż tego domu zaważyła na całej późniejszej twórczości pisarza, była momentem, który stworzył konieczność literackiego powrotu do dawnych przeżyć i spraw. Sam Márquez utrzymuje, że swoją najświeższą powieść pisał właściwie od szesnastego roku życia, a „cała jego pozostała twórczość była stale ponawianą próbą zapisu tego wszystkiego, co przez siedemnaście lat było w nim zamierzonym odbudowaniem rzeczywistości zniszczonej przez czas”. Tak też należy traktować opowiadania składające się na tom „Dialog lustra”. Powstały one w latach 1947–1955, a przecież mimo tego dość długiego czasu pisarz był ciągle wierny jednemu, ciągle na nowo przetwarzanemu tematowi. Jest nim temat śmierci, traktowanej nie od strony filozoficznej, ale przede wszystkim widzianej przez pisarza jako pretekst do walki z przemianami czasu. Zacierając granice rzeczywistości i snu, granice życia i śmierci Márquez wskrzesza ludzi, przedmioty i wydarzenia. Trudne, niekonwencjonalne tematyce opowiadania, zawarte w tomie „Dialog lustra” pozwalają nam wejść głębiej w oryginalną twórczość autora „Sto lat samotności”.

Opowiadania ukazały się w serii Prozy Iberoamerykańskiej.

Gabriel García Márquez „Dialog lustra”, przełożyła Z. Chadyńska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, str. 87, cena zł 12.

SAMO ŻYCIE

Bardzo poważny tytuł książki: „Współczesny mężczyzna jako mąż i ojciec” — może sugerować, że chodzi tu o solidne, naukowe studium socjologiczne. Nie podobna. Na książkę składa się 40 wybranych prac nadesłanych na konkurs ogłoszony w grudniu 1973 roku przez Ośrodek Badań Towarzystwa Planowania Rodziny i redakcję „Trybuny Ludu”. Organizatorzy konkursu postawili sobie za cel zebranie możliwie obszernego materiału, który najobszerniej mówiąc, ukazywałby współczesnego mężczyznę w roli męża i ojca. Temat konkursu wybrali duży zainteresowaniem. Wzięło 339 prac, autorami zdecydowanej większości pamietników byli, zgodnie z założeniami konkursu, mężczyźni. Tylko trzy prace nadesłane były przez kobiety. We wstępie do książki czytamy, że „ogół materiałów stanowiących plan konkursu na pamietniki pt. „Współczesny mężczyzna jako mąż i ojciec”, zostanie podany systematycznemu opracowaniu socjologicznemu, posłuży do badań naukowych itp.”. Póki co, owe wybrane i wydane w książce prace są nadzwyczaj interesującą lekturą dla zwykłego czytelnika. Autorzy pamietników piszą nie tylko o sobie, o swoich problemach, poglądach, o swojej pracy zawodowej i roli w domu. Z ich opowieści wyłania się przede wszystkim obraz życia współczesnej polskiej rodziny. I jeśli nawet po lekturze książki nie znajdziemy jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, jaki właściwie jest ten współczesny mężczyzna, to przecież zostanie wiele refleksji. Tak jak to zwykle bywa, kiedy się ma do czynienia z opisaniem autentycznego życia.

„Współczesny mężczyzna jako mąż i ojciec”, Książka i Wiedza, W-wa 1976, str. 330, cena zł 25.

SENSACJA W STYLU RETRO

Alfred Hitchcock, mistrz grozy, nakreślił swój film „Rebecka” według powieści, która przetrwała na przelocie dwadzieścia lat. Autorką wydanej w 1938 roku „Rebecki” jest urodzona w 1907 roku angielska pisarka Daphne du Maurier. Nie bez powodu przypominamy tutaj film Hitchcocka, bo z pewnością został on lepiej zapamiętany niż wydane w polskim przekładzie utwory pisarki: „Już nigdy nie będzie młody”, „General jego królewskiej mości” czy wreszcie sama „Rebecka”, której pierwsze polskie wydanie z roku 1939 nosiło tytuł „Pani na Manderley”.

Z bogatą twórczością Daphne du Maurier „Czytelnik” wybrał do swojego Klubu Interesującej Książki powieść z polskim tytułem „Oberża na pustkowiu”. Ukazała się ona w roku 1966, a jej akcja rozgrywa się w Kornwalli w początkach dwudziestego wieku. Bohaterką książki jest Mary Yellan, młoda dziewczyna, która posłuszna woli umierającej matki, wyjeżdża z rodzinnej miejscowości do swojej zamieszkałej samotnicy, tajemniczego wuja prowadzącego nie mniej tajemniczą oberżę „Jamaica”. Oberża i jej właściciel otoczeni są zła sławą, większość ludzi omija „Jamaikę” z daleka. Dlaczego? Czym naprawdę zajmuje się ponury wuj-oberżysta? Co się dzieje w „Jamaice”? Nie zdradzimy dalej treści tej sensacyjnej książki. Zbliżają się święta, toteż ze spokojnym sumieniem polecamy ją wszystkim, którzy lubią literaturę z dreszczem. W tym wypadku z dreszczem i romansem w stylu retro.

Daphne du Maurier „Oberża na pustkowiu”, przełożyła W. Komarnicka, PIW, W-wa 1976, str. 290, cena zł 30.

WARTO PRZECZYTAĆ

Janusz Anderman „Zabawa w głuchy telefon”, Czytelnik, cena zł 11.
Wojciech Czerniawski „Jest już chyba kobieta”, Wyd. Poznańskie, cena zł 10.
Ryszard Hajduk „Arka Bożka”, Iskry, cena zł 12.
Jaak Kross „Immatrykulacja Michelsona”, PIW, cena zł 15.
Mieczysław Piotrowski „Cztery sekundy”, Czytelnik, cena zł 15.
Leonard Staff „Kto jest ten dziwny nieznajomy. Wybór poezji”, Wybór, układ i posłowie Tadeusz Różewicz, PIW, cena zł 35.
Zdzisław Skwarczyński „Stanisław Dygati”, PIW, cena zł 20.
Tadeusz Hołuj „Rysolki”, Wiersze, Czytelnik, cena zł 23.
Tadeusz Konwicki „Kronika wypadków miłosnych”, Czytelnik, cena zł 24.
Maurice Merleau-Ponty „Proza świata. Eseje o mowie”, Czytelnik, cena zł 60.
Edmund Puzdrowski „Przyszedłem wypełnić...”, PIW, cena zł 12.
Roch Sulima „Folklor i literatura. Szkice o kulturze i literaturze współczesnej”, LSW, cena zł 56.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

„ALFA” i OMEGA

Wychodząc naprzeciw coraz większemu zainteresowaniu tematyką „science fiction” Krajowa Agencja Wydawnicza rozpoczęła wydawanie periodyku „Alfa”. Piszę „periodyku”, bowiem starym zwyczajem KAW (podobnie jak w wypadku „Expressu reporterów”) nie poinformowano czytelników, z jaką częstotliwością będzie się „Alfa” ukazywała. Nie wiadomo również, kto redaguje to pismo.

Wiadomo natomiast, że inicjatywa jest godna pochwały. „Alfa” ma nakład 100 tysięcy egzemplarzy, ale dostać ją trudno, bo jest to rzeczywiście nowość na naszym rynku czytelniczym.

Niestety, już pierwszy numer może nieco zrazić czytelnika, który tematyką „science fiction” interesuje się od dawna. A przecież „Alfa” do takiego czytelnika jest głównie adresowana. Otóż — moim zdaniem — nie można wydawania pisma zaczynać od lekceważenia dorobku autorów, którzy w tej dziedzinie zdobyli sobie światowe uznanie. Mam tu na myśli Ericha von Dänikena. Oczywiście, dobrze byłoby przeciwstawić Dänikenowi jakieś nowe, fascynujące

ce hipotezy. Dobrze byłoby rozbić w proch i pył jego teorię, ale żeby to zrobić trzeba dysponować jakąś spójną, przemyślaną koncepcją.

Nie można natomiast tak pisać: „Niestety, Däniken jest tylko pseudonauką, a większość jego dowodów opiera na fantazjach lub przeinaczaniu faktów”. Napisał te słowa bliżej nie znany pan Jerzy Wilczyński, jak wolno przypuszczać, nie „pseudonauką”, lecz Naukowcem Prawdziwym, czyli alfa i omega współczesnej wiedzy.

A więc Däniken jest nieuk, fantasta i fałszerz. Co zatem przeciwstawia mu Naukowiec Wilczyński? Otóż Wilczyński o tajemnicach piramid pisze w aureoli Nauki.

Nie wiadomo skąd przybyły plemiona praegipskie do doliny Nilu. Nie wiadomo kto i po co budował piramidę. Nie wiadomo, w jaki sposób Egipcjanie potrafili tak dokładnie wytyczyć boki piramid. Nie wiadomo, w jaki sposób i na zasadzie jakiej siły piramidy regenerują strukturę krystaliczną metalu...

I tak dalej, i tak dalej. Jeśli oficjalna Nauka reprezentowana przez Jerzego Wilczyńskiego

skiego potrafi tylko odpowiadać: „Nie wiadomo”, to dziękuję uprzejmie i wolę ryzykowne, ale logiczne i spójne hipotezy Dänikena. Rzecz charakterystyczna — reprezentanci nauki wolą o Dänikena mówić per „pseudonaukę” i „przedsiebiorczych Szwajcarów”, niż... obalić na uko o jego teorię. Dla przeciętnie inteligentnego człowieka taka reakcja jest wielce wymowna. Siłą rzeczy nasuwa się przypuszczenie, że teoria Dänikena obalić się nie da!

Naukowiec Wilczyński twierdzi, że stosunki liczbowe piramid nie stanowią tajemnic. Jest to oczywiście bzdura.

W piramidach działają wciąż jeszcze nieznanne siły sprawujące, że umieszczone w ich wnętrzu ryby, jaja, mięso — nie ulegają zepsuciu, a ciała zwierząt mumifikują się. Kanadyjski elektronik, Eric McLuhan wykonał setki doświadczeń... z tępa zyletką, która w modelu piramidy zbudowanej w klasycznych proporcjach piramid w Gizie... regenerowała się. Cztery lata temu naukowcy z Uniwersytetu w Kairze prowadzili we wnętrzu piramid doświadczenia z aparatem do wykrywania promieniowania. Prowadzący te badania dr Amr Gohed powiedział: „Z punktu widzenia naukowego jest to niemożliwe, jednak to, co się dzieje we wnętrzu piramid, jest sprzeczne ze wszystkimi znanymi prawami fizyki i elektroniki”.

Piramida — bryła geometryczna — działa jak reflektor skupiający. Ale jakie promieniowanie skupia? Nie wiadomo.

Naukowiec Wilczyński sam przecież pisze: „Poważni uczeni z całego świata, m.in. ze Związku Radzieckiego, zadawali sobie pytania „dlaczego?” Sprawy nieznanych sił działających w piramidach zajmował się Kongres Psychotroniki w Pradze w 1973 roku. Nie znaleziono odpowiedzi.

Reasumując: Bardzo dobrze, że powstało pismo zajmujące się w sposób popularny tymi pasjonującymi sprawami. Gorzej natomiast, że czytelników traktuje się niepoważnie, serwując lekceważące epitety zamiast naukowych argumentów. Dla Wilczyńskiego cały problem piramid jest niewiadomą — wie on natomiast jedno, że Däniken to fantasta i ignorant.

Dla „Alfy” mam radę. Dopóki pan Wilczyński nie wymyśli jakiejś sensownej i logicznej koncepcji w sprawach badanych przez Dänikena, niech się wstrzyma od epitetów. A póki co, niech „Alfa” drukuje raczej Dänikena, którego miliony czytają na całym świecie, a w Polsce przekład „Meine Welt im Bildern”, wydany przez „Sport i Turystykę” kosztuje na giełdach pół tysiąca złotych.

WIDOK

LEWYM OKIEM

REPORTAŻ BŁYSKOTLIWY

Delfi to takie nieduże miasto greckie, które ludziom czytającym kojarzy się oczywiście z wyrocznią delficką. To właśnie w Delfach przewodnik opierając czoło chusteczka pokazuje ruiny świątyni Apollina, gdzie siadywała na trójnogu Pytia i wygłaszała swe mądrości pielgrzymom, a każdy pielgrzym rozumiał je jak chciał.

Potem już nas została mała garstka takich, co jeszcze mieli siłę i ochotę brnąć parę kilometrów przez upał do kastylijskich źródeł. Było około 40 stopni w cieniu, ale nie było cienia. Za to napiliśmy się prawdziwej, czystej wody o smaku fantastycznym, bo pozbawionej smaku. Sama rozkosz, a bije ta rozkosz wielkim strumieniem od paru tysięcy lat, wciąż w tym samym miejscu, ze zwyczajnej szczytyny nagiej, wypalanej w żelaz skały.

W roku 1837, a więc w niewiele lat po śmierci Napoleona, pewien Francuz, nazwiskiem Peres, wydał książeczkę pt. „Comme quoi Napoleon n'a ja-

mais existe”, czyli: „Jako Napoleon nigdy nie istniał”. Przewrotnie dobranymi argumentami dowiódł, że dzieje Napoleona to po prostu jeszcze jedna wersja apolińskijskiego mitu, łatwa do rozszyfrowania. Przecież Apollon (co oznacza po grecku Niaszyciel, albowiem bohaterek ten zniszczył smoka Pythona i za to postawili mu Delfina świątynię) i Napoleon to prawie to samo imię, ledwie, że ciut przekrecone.

Napoleon — tak samo jak grecki półbog — pokonał smoka rewolucji, co zapewne czytałyby jako parabolę odwiecznego mitu zwycięstwa Słońca nad Księżycem. Łysy przewodnik w Delfach, streszczając nam wśród ruin historię Apollina, też o tę kosmogoniczną wykładnię nie omieszkał zawrzeć. Wszystko się zgadza. Napoleon to słońce, nasze jasne. Jego matką była madame Letycja, tak jak matka Apollina — Lete, czyli świat, jutrzienka, radość. Urodził się obaj na wyspie i obaj mieli po trzy

siostry (Trzy Gracie). Cesarz Francuzów, a właściwie zakamuflowany bóg — słońce, miał poza tym 4 braci, czyli 4 pory roku, a sława jego błyszczała 12 lat, tak jak 12 godzin świeci słońce. Wyprawa do Moskwy była szczytem sławy, południem apolińskijskiego dnia. Potem zaczął zapadać zmrok, słońce odchodziło na zachód (cesarz wiał spod Moskwy) i utonęło daleko w oceanie (na wyspie świętej Heleny).

Przewodnik mówił dużo i chyba dowiecnie, bo chwilami wybuchł śmiechem, a wtedy nasza wycieczka wtórowała, zachowując złudzenie, że świetnie się rozumiemy. Ale on mówił po francusku z akcentem ateńskim, a nasza orbisowa przewodniczka wprowadziła uczyła się — jak nas poinformowała — 40 lat języka francuskiego, ale z akcentem warszawskim. Więc po prostu nie tłumaczyła, używając resztki energii, strawionej przez upał, na cięte odpowiedzi rodakom w języku ojczystym. Od tej strony koszty

wycieczki — ho ho, jakie słone — musieliśmy uznać za zmarnowane; ci z nas, co w ogóle nie znali innych języków prócz kilku gwar nadwiślańskich, nie mogli intelektualnie przeżyć przeżyczeń miasta, Delfi.

Dobre, że mi się przypomniała ta stara broszura o Napoleonie. Jak tylko jakiś pisarz lub dziennikarz wyjedzie za granicę ze Sport-Touristem lub Orbisem na parę dni — kropi o tym szesnastosekajnych reportaży w prasie, z czego jeszcze nieraz i książka się cała wykoła. Czytałem takie reportaże w poważnym piśmie, a dotyczące tej samej trasy, którą zwiedziłem latem, Boże, czego tam nie było! Iu cesarzy i bogów, i bardzo osobistych dygresji! Ale Napoleona nie było. Czytaliśmy też reportaż z Grecji, poświęcony w całości młodym Niemcom z plecakami jako groźbie dla pokoju i cywilizacji. Byli to Niemcy w Delfach. A teraz macie Napoleona w Delfach, czyli zupełnie oryginalny reportaż z wyjazdu Waszego felietonisty do Grecji.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

AMATOR NIE ZNACZY NAIWNY

Dawno, dawno temu bardzo modne było hobby. Nie wypadło przeprowadzić z kimkolwiek ze znanych ludzi wywiadu, aby nie zadać mu sakramentalnego pytania: — Jakie jest pana (pani) hobby? I mało kto miał odwagę przyznać się, że praca tak go pochłania, że nie ma już czasu na inne, postronne zainteresowania.

Oczywiście hobby nie jest niczym złym. Im człowiek ma szersze zainteresowania, tym lepiej. Dobrze to o nim tylko świadczy. Dziś jednak hobby powróciło do swojej normalnej roli i nikt już nie pyta: — Jakie jest pana (pani) hobby?, gdyż takie pytanie jest po prostu banalne. Ludzie mają różne hobby, albo chcą je mieć. Jedni wlebią zebrańki, inni płyty gramofonowe, inni makietki samochodów, inni żołnierzyki, inni jeszcze książki, a zupełnie inni zajmują się majsterkowaniem. I właśnie z myślą o nich zaczęły się ukazywać książki z serii „HOBBY”.

Taka właśnie książka przyniosła mi niedawno znajomy i powiedział: — Przeczytaj to sobie. Dali-bóg nie mam zamiaru nie tapetować, majsterkowanie nie jest moim marzeniem, a nawet wręcz przeciwnie, więc nie zdradzałem entuzjazmu dla spełnienia tej rady, która zresztą brzmiała jak

polecenie. Chodzi o książkę Rudolfa Horstmannia pt. „TAPETY, WYKLADZINY, IZOLACJE”. — Przeczytaj, przeczytaj — powiedział jednak mój znajomy stanowczo, widząc moją niechęć — a bardzo się ubawisz. Zobaczysz. Książkę Rudolfa Horstmannia „TAPETY, WYKLADZINY, IZOLACJE” przetłumaczyła z niemieckiego mgr Krystyna Mokrowska-Lindenbain, a ukazała się ona w Polsce nakładem WYDAWNICTWA NAUKOWO-TECHNICZNYCH. Wydawca tak pisze o tej książce:

„W książce omówiono technikę pokrywania sufitów, ścian i podłóg różnymi wykładzinami... Stanowi ona zbiór praktycznych wzorów i wskazówek dla szerokiego ogółu amatorów, którzy zdecydowali się sami przeprowadzić remont swojego mieszkania”.

Amator nie znaczy jednak człowiek naiwny. A naiwnym okazał się ten, kto uwierzył tej zapowiedzi, nawet mimo to, że opiniodawcą książki był dr inż. Jerzy Komorowski, a redaktorem naukowym — mgr Krystyna Kopczyńska.

Każdy ma prawo do posiadania takiej tapety, jaka mu odpowiada — tym cytatem zaczyna swoją książkę Rudolf Horstmann i wyjaśnia zaraz: „W ten sposób w

RFN reklamuje się przedsiębiorstwo tapetowe”. W wielu miejscach można znaleźć jeszcze podobne stwierdzenia: „W sprzedaży w RFN znajdują się nietrujące i bezwonne koncentraty...”, „Handel w RFN oferuje do tego celu płynną emulsję...”, „W RFN produkują tace mające swoje własne programy produkcji...”, „W RFN produkuje się okleiny z pięciu gatunków drewna...”, „Handel w RFN oferuje osiem elementów budowlanych...”.

Gdyby więc naiwny amator chciał sam przeprowadzić remont swojego mieszkania, posługując się radami Rudolfa Horstmannia, to musiałby udać się do RFN i zakupić sobie zestaw potrzebnych mu tapet, oklein i izolacji, a także klejów i różnych innych budowlanych akcesoriów. Wprawdzie wydawca był uprzejmy dołączyć do książki „Wykaz ważniejszych materiałów dostępnych w Polsce” i podał je według informatora handlowego Besar 1976–1977, podając jednocześnie, jakie przedsiębiorstwa powinny je sprzedawać, ale to i tak nie zmienia sytuacji naiwnego amatora, gdyż wydawca nie informuje, jakie materiały, kleje itp., którymi poleca się posługiwać Rudolf Horstmann, można zastąpić tymi dostępnymi na naszym rynku. A bez tego cała praktyczność porad Rudolfa Horstmannia traci jakiegokolwiek znaczenie.

Jestli WYDAWNICTWA NAUKOWO-TECHNICZNE chciały sprawić frajdę naszym fachowcom „tapetiarzom” i trochę ich podkazać, to jest to czyn wielce chwalebny. Ale można było tę książkę przetłumaczyć i oddać ją na powielaczu któregoś z klu-

bów racjonalizatorów. Tymczasem książka Rudolfa Horstmannia ukazała się w nakładzie 20 tys. egzemplarzy i to na zupełnie dobrym papierze. Ostatnio trafiło do moich rąk wiele wartościowych książek wydanych w dużym nakładzie i to na bardzo złym papierze. Przeglądając tę książkę sądziłem, że istotnie mamy kłopoty z papierem, ale o lekturze książki Rudolfa Horstmannia zmieniłem zdanie. Okazuje się, że mamy wcale dużo papieru i potrafimy go znakomicie marnować.

Nie jestem przeciwny wydawnictwom dla hobbistów. Są one niewątpliwie pożyteczne. Ale uważam, że można było poszukać rodzimego autora, który napisałby podobną książkę, operując tym wszystkim, z czego może skorzystać amator, kupując w naszych specjalistycznych sklepach. Byłoby to przedsięwzięcie o wiele bardziej pożyteczne. I byłaby to lektura dla hobbistów. A tak WYDAWNICTWA NAUKOWO-TECHNICZNE dostarczą jeszcze jedną książkę „naukowo-fantastyczną”. „Naukowa” — sądząc po naukowych tytułach konsultantów i redaktorów, „Fantastyczna”, gdyż nabyły w butelkę amator może sobie pomarzyć o tym, co zrobiliby ze swego mieszkania za caczusko, gdyby miał do dyspozycji to wszystko, co mu poleca Rudolf Horstmann.

MARCIN RODAK

magazyn

TORT

Ukoronowaniem przyjęcia u magistratu Biczaków był piękny, ozdobiony lukrowanymi owocami, tort.

Sytle już, a więc zadowolone towarzystwo zabrało się do zdo- bycia tej ostatniej przeszkody na drodze do uczczenia awan- su gościnnego gospodarza.

— Tort jest świetny, tylko może troszeczkę za słodki — zauważył pan Kowalski, nakładając sobie drugą porcję.

— Tort jest doskonały — po- wiedziała, dławiąc się, pani No- wakowa, ale chyba za mało pulchny.

— Tortowi niczego nie moż- na zarzucić, mógłby być tylko bardziej esencjonalny — dodał pan Kiljańczyk.

W wypowiedziach kolejnych gości, tort okazał się również doskonały i smaczny, tylko, że był:

- za mało słodki,
- za twardy,
- za kwaśny,

- za słony,
- za gorzki,
- za mało wypieczony,
- za bardzo wypieczony,
- za ciężki (ważył istotnie kilka dobrych kilogramów).

Mgr Biczek nie posiadał się z radości.

— Cieszę się — powiedział — że nasz tort tak wszystkim smakuje i spojrzal z rozrze- waniem na jego autorkę.

Okazuje się więc, że kole- tywna, twórcza krytyka dzia-

łać może cuda, skoro nawet niejadalny zakalec nadaje się do konsumpcji!

KWESTIA INTERPRETACJI

Kowalskiemu powtarzano od małego: „Bądź kowalem swego losu!” Kiedy więc dorósł, skulił mordę swemu zwierzchnikowi.

Nowak tak przejął się przy- słowiem „Kto rano wstaje te- mu Pan Bóg daje”, że owszem, wstawał rano, ale przestał cho- dzić do pracy, licząc w zupeł- ności na Pana Boga.

Malinowski podpadł w oczach

mnożyć w nieskończoność, ale o to przecież nie chodzi. Już na tych trzech widać wyraźnie, że wszystko jest kwestią interpre- tacji. Co wcale jednak nie oznacza, że namawiam tu ko- goś do bicia zwierzchnika, pa- sożytnictwa społecznego i nie- uprzejmości wobec dyrektora.

NA BUDOWIE

Najpierw położono oczywiście kamień węgielny i dokonano uroczystego wmurowania aktu erekcyjnego w fundamentach przyszłej budowli, która miała być wzorem architektonicznego kunsztu dla przyszłych poko- leń.

Po jakimś czasie na suro- wym jeszcze budynku zawisła dumnie wiecha. Na górnych piętrach fakt ten uczczono mar- telem, na dolnych czystą z czerwoną kartką, ale wszyscy byli zadowoleni.

Główny projektant wstał na- zajutrz z lekkim kacem i przed przystąpieniem do kolejnej fa- zy robót zaczął szukać odnoś- nej dokumentacji.

Dopiero teraz wyszła na jaw fatalna omyłka: w teczce z na- pisem „Dokumentacja” główny projektant znalazł akt erekcyj- ny.

No, cóż! Przyszłe pokolenia dowiedzą się przynajmniej, w jaki sposób budowaliśmy do- my.

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI HUMORESKI

dyrektora — śmiał się zawsze jako ostatni z jego dowcipów, wyznając nawet w tej sytuacji zasadę, że „ten się śmieje, kto się śmieje ostatni”.

Podobne przykłady można by

ŚLADAMI DAWNEJ ŁODZI SYNAGOGA PRZY PROMENADZIE



Fot.: Archiwum

Początki gminy żydowskiej w Łodzi sięgają schyłku XVIII stulecia. Upřednio Łódź, jako posiadłość biskupia, nie była dostępna dla osadnictwa ży- dowskiego. Wprawdzie zakaz ten czasem omijano, ale słabo rozwinięte gospodarczo mia- stečko rolnicze nie zachęcało Żydów, poza nielicznymi wy- jatkami, do osiedlania się w jego granicach.

Znaczniejszy napływ ludności żydowskiej do Łodzi nastąpił dopiero w pierwszym ćwier-

wieczu zeszłego stulecia. W 1803 roku na terenie miasta zamiesz- kiwały 24 rodziny żydowskie, a około 1820 roku Żydzi sta- nowili już jedną trzecią miesz- kańców Łodzi.

Potrzebom religijnym ludno- ści żydowskiej służyła pierwot- nie drewniana synagoga, zbu- dowana w 1809 roku przy ul. Wolborskiej, na placu nabytym od porucznika Gwardii Naro- dowej Józefa Aufschlaga. Lu- stracja owego budynku, doko- nana przez władze miasta w

1854 roku, stwierdzała, że stan jego grozi zawaleniem. W ta- kich okolicznościach Urząd Mu- nicypalny zakazał dalszego od- bywania w nim obrządków re- ligijnych, a „bożnica rzeczona dla zapobieżenia smutnym wy- padkom zapieczetowana zosta- ła”.

Z koniecznością więc gmina żydowska przystąpiła do budo- wy nowej, znacznie obszerniej- szej synagogi, gdyż w między- czasie liczba ludności żydow- skiej w Łodzi nieopornie wzrosła. Synagoga ta, podobnie jak jej poprzedniczka, stanęła przy ul. Wolborskiej w 1866 ro- ku. Wzniesiono ją z cegły w stylu renesansowym. Po rych- lej przebudowie nadano jej ce- chy architektury mauretańskiej. W takim kształcie stała się o- zdoba dzielnicy staromiejskiej.

Zamożnym kupcom i fabry- kantom wyznania mojżeszowe- go nie wystarczała wszelkie sy- nagoga przy ul. Wolborskiej, le- żąca dość daleko od centrum miasta, a zwłaszcza nie odpo- wiadała im towarzystwo bied- nych i brudnych chłapaczy, no- siłsi więc z zamiarem zbu- dowania synagogi w śródmie- ściu, przeznaczonej wyłącznie dla ludzi z ich sfery. Wspomi- nał o tym autor korespondencji nadesłanej z Łodzi w 1862 roku do warszawskiej „Jutrzenki”, który dzielił łódzkich Żydów na dwie grupy, charakteryzując je następująco:

„Jedna, prawie trzecia część obejmująca, ani powierzchow- nością, ani obyczajami, ani mo- wa nie różni się od prawdzi- wych polskich krajowców (...). Dzieci do szkół publicznych chętnie posyłają (...). Na dom modlitwy, chociaż mają udział w budującej się na Starym Mieście synagodze, urządzają

na Nowym Mieście osobny lo- kal, gdzie mają zamiar wpro- wadzić później reformy w od- prawianiu nabożeństw na wzór synagog warszawskich. Druga kategoria gminy żydowskiej w Łodzi, niestety smutny przed- stawia obraz. Ubory dziwacz- ne, mowa babilońska, obyczaje śmieszne, wyobrażenia zabob- ne — oto główne rysy tej czę- ci mieszkańców”.

W 1882 roku Żydzi „postępo- wi” przystąpili do budowy no- wej, okazałej synagogi u zbiegu Promenady (al. Kościuszki) i ul. Zielonej zaprojektowanej przez miejskiego architekta Hilarego Majewskiego. Budowla impono- wała okazałością i bogatym wyposażeniem wnętrza. Ozdob- ny portal wzbudzał podziw i szacunek. „Synagoga Żydów postępowych” ukończono w 1887 roku. W rzeczywistości by- ła ona domem modlitwy ży- dowskiej burżuazji.

Synagoga przy Promenadzie miała doskonałych kaznodzie- jów i kantorów. Zapraszano do niej także zagranicznych śpie- waków, którzy dawali prawdzi- we koncerty.

Wszystkie łódzkie synagogi, a było ich kilkanaście, uległy zniszczeniu w okresie hitlerow- skiej okupacji. Synagoge na Starym Mieście spalili hitlerow- cy w dniu 15 listopada 1939 ro- ku. Dzień później taki sam los spotkał synagoge „postępowa” przy al. Kościuszki. Zadanie straży ogniowej polegało tylko na dopilnowaniu, ażeby ogień nie przenisł się na sąsiednie zabudowania.

Dzisiaj na placu po wyburzo- nej synagodze znajduje się sta- cja benzynowa i postój taksó- wek.

WACŁAW PAWLAK

POWIĘKSZENIA

INSTRUKCJA MPK

MPK zawiadamia pasażerów, że w „środkach prze- wozowych komunikacji miejskiej wprowadzone zosta- ły bilety dwuprzejazdowe”.

Srodki przewozowe, bilety dwuprzejazdowe... a cho- dzi tu po prostu o zwykłe tramwaje i autobusy oraz o zwykłe bilety. Ale według MPK ze „środków prze- wozowych” korzystają wyłącznie niedorozwinięci, więc trzeba było im tłumaczyć co i jak.

Oto instrukcja dla pasażerów, jak korzystać z „bi- letów dwuprzejazdowych”: „Bilety te kasuje się w ka- sowniku, podobnie jak bilety jednorazowe tj. pierwszy przejazd należy skasować z jednego końca biletu, a drugi przejazd z drugiego końca”.

Jakież to rewelacji dowiadujemy się z tego zdania? Otóż bilety kasuje się w... kasowniku. Szalenie trud- no było zgadnąć. Bilety te kasuje się „podobnie jak bilety jednorazowe”. I tu złapaliśmy MPK na nieści- śności, bowiem bilety kasuje się zupełnie tak samo. Nie wiemy tylko czy wolno na przykład „pierwszy przejazd” kasować z drugiego końca, a „drugi prze- jazd” z pierwszego końca? I który koniec biletu jest pierwszy, a który drugi?

Niepewności te dręczą nas będą, ale krótko, bo oto mamy przed sobą dalszy ciąg instrukcji.

„Bilety dwuprzejazdowe mogą być wykorzystywane na przejazd dla dwóch osób na linie autobusowe pod warunkiem, że wartość skasowanych przejazdów od- powiada cenie przejazdu dla dwóch osób, lub na li- nie autobusowe pod warunkiem, że wartość skasowa- nych przejazdów odpowiada cenie przejazdu danego środka przewozowego”.

Chciałoby się zawołać: Autor, Autor — pokażcie nam tego, który to napisał.

Nie wdając się w sens instrukcji, zwrócimy tylko uwagę, że kasuje się bilety a nie przejazdy, jak sugie- ruje poemat biurokratyczny MPK.

A teraz poważnie. Czy MPK nie ma innych zmar- twień? Obecnie mamy bilety za 50 groszy, złotówkę, półtora złote i za dwa złote. Jest to wystarczająca różnorodność, żeby sobie każdy mógł skasować bilet za taką sumę, jaka obowiązuje w autobusie czy tram- waju. Po kiego licha jeszcze nam dodatkowe „bilety dwuprzejazdowe”?

Wiemy, wiemy — to wszystko dla wygody pasaże- rów. Ale dla wygody pasażerów niech raczej tram- waje nie chodzą stadami, niech komunikacja funkcyj- nuje regularnie.

Ze to nie takie proste? Także wiemy. Łatwiej oczy- wiście wprowadzić kolejny wzór biletów, niż popra- wić stan komunikacji.

W zakończeniu swojej instrukcji MPK pisze, że pro- si „o przechowywanie biletów w niepominiętym stanie”.

My też mamy prośbę. Niech nas MPK nie infor- muje o swoich wątpliwych usprawieniach w tak niepojętym stylu.

MATRYMONIALNE?

„Express” pisze o biurze matrymonialnym „Swat- ka”: „Coraz więcej jest ofert od młodych rolników, którzy poszukując kandydatek na małżonki nie sta- wiają wymagań co do urody (ba, nawet i wieku...), chcą tylko, aby ich wybranka lubiła pracę i życie na wsi”.

Czy w tej sytuacji nie lepiej zwrócić się do „po- średniaka”?

METKA

Na opakowaniu rajstop czytamy: „damskie elastilo- we, gładkie, niestabilizowane”. Wg Słownika Wyrzów Obcych „stabilizacja” znaczy „stan trwałości”. I rze- czywiście — rajstopy są z całą pewnością „niestabi- lizowane”.

Na opakowaniu znajdujemy jeszcze jedną infor- mację. Pisze mianowicie „Opakowanie zastępcze” czyli po prostu prowizorka. A pod spodem cyferki — na- kład 4 miliony sztuk. Jak widać „opakowanie za- stępcze” w przeciwieństwie do towaru osiągnęło sta- bility „stan trwałości”.



Fot.: Archiwum

ELŻBIETA JAGIEŁŁO

Była jeszcze uczennicą jednej z łódzkich szkół średnich, gdy w styczniu 1970 roku zaczęła śpiewać w znanym żeń- skim zespole wokalnym „Pro Contra”, z którym występowa- ła przez szereg i t nie tylko w kraju, ale również za - granicą (m. in. w ZSRR, NRD, RFN i Bulgarii). W tym sa- mym czasie „Pro Contra” wielokrotnie spełniała rolę chóru akompaniującego wykonawcom na krajowych i międzyna- rodowych festiwalach; na niektórych z nich żeński kwartet prezentował również własne piosenki, nowe utwory ze swe- go repertuaru. W śnie przed dwoma laty na Festiwalu Pio- senki Żołnierskiej w Kolobrzegu Elżbieta Jagiełło wraz z „Pro Contra” zdobyła „Srebrny Pierścień” brawurowo wy- konując solową partię sopranową w piosence „Kochajmy orkiestry wojskowe”.

Później — po rozstaniu się z tą grupą — współpracowała z „Trubadurami” uczestnicząc w szeregu sesji nagrania- wych, podczas których nagrano kilka radiowych przebojów (najbardziej znanym był szlagier „Kiedy dzień z nocą go- ni”). Dużą popularność zyskała sobie — również nagrodzo- na „Srebrnym Pierścieniem” na festiwalu „Kolobrzeg 75” — piosenka pt. „Żołnierz lubi śpiewać”.

Następny etap działalności estradowej Elżbiety to wspólna kilkumiesięczna praca z nowo powstałą grupą instrumen- talno-wokalną „Bang!!!” (efektem jej było m. in. nagranie znanego z anteny utworu — „Twój pierwszy sukces”). Ko- lejny festiwal kolobrzelski, na którym gościnie wystąpiła z „Pro Contra”, znów okazał się dla niej szczęśliwy: sym- pacyjna wokalistka z Łodzi uzyskała tam tytuł „Miss Obiektywny”.

Od niedawna Elżbieta Jagiełło pełni swoich możliwości prezentuje już jako samodzielna piosenkarka. Dopiero wy- słuchanie kilku piosenek z jej kłutego, solistycznego re- pertuaru pozwala bez kurtuazji stwierdzić, iż nie jest ona tylko „obiecującą nadzieją”, ale dojrzałą piosenkarką o wy- kryształowanym empoie. Walory wokalne, kultura estrado- wa, wdzięk osobisty, a także nieustanny rozwój artystyczny poprzez współpracę z utalentowanymi twórcami piosenek — to wszystko rokuje Elżbiecie Jagiełło jako piosenkarce nie- jeden jeszcze sukces.

Nie ma ona jeszcze ostatecznie sprecyzowanych planów na przyszłość; prawdopodobnie nawiąże stałą współpracę z jednym z młodych rodzimych ansambli, który ma spełnić rolę akompaniatora. Poza tym w najbliższym czasie zamie- rza nagrać w łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia parę no- wych piosenek (głównie łódzkich autorów i kompozytorów), które mają szansę zdobyć uznanie publiczności. Elżbiecie wypada życzyć — powodzenia w realizacji swych planów.

STANISŁAW WILCZYŃSKI

CYCERONA CZAS

W nadchodzące zimowe wie- czory czas najwyższy zająć się Cyceronem. Dlatego TV w spe- cjalnych programach przybliży nam Wielkiego Meza, skłania- jąc do zrozumienia a potem pokochania go. W długie zimo- we wieczory ukazana zostanie niełatwa młodość Tytana, głu- pie żarty robione przez kole- gów z klasy na temat Jego na- zwiska, pierwsza młodośćca jeszcze miłości, rzymskie psoty oraz nieudaną próbę zapuszcze- nia wasów. Tak minie zima i zakończy się program. A gdy nadejdzie wiosna, niejednemu smutno będzie bez Cycerona.

KŁĘSKA NIECHCIAŁA

W czasie nakręcania sceny batalistycznej do filmu z okre- su II wojny, przechodzący obok rolnik Kazimierz Niechciała bez chwili namysłu rzucił się pry- watnie w bój, siejąc zameł i panikę w grupie nieprzyjaciel- skich czołgów i zmuszając pie- chotę do odwrotu. Wzruszony reżyser ucałował Kazimierza Niechciał w czoło oraz popro- sił go, by ze względu na dobro filmu a nie narodu ograniczył się jedynie do grożenia pięścią wrogowi. Prośba nie odniosła skutku i by móc kontynuować pracę reżyser zmuszony został do wezwania żony Kazimierza

MAŁE KINO

„Najlepsze te małe kina”.

K. I. G.

Niechciała, która szybko uspo- koiła porywczego rolnika.

KRÓLEWSKA DECYZJA

Królowa angielska kategory- cznie zakazała produkcji filmów problemowych. Przykra ta de- cyzja była niestety konieczna, gdyż rozważający problemy obojętnego filmu problemowe- go dróżnicy kolejowych prze- jazdów strzeżonych, coraz czę- ściej zapominali o opuszczeniu szlabanu. Przeciwno decyzji królowej występują jedynie pasażerowie pociągów, którzy pozbawieni możliwości rozwa- żania problemów z filmów pro- blemowych, nudzą się w czasie podróży.

ANDRZEJ CZEKAŁSKI